

NA SZLAKU

LISTOPAD

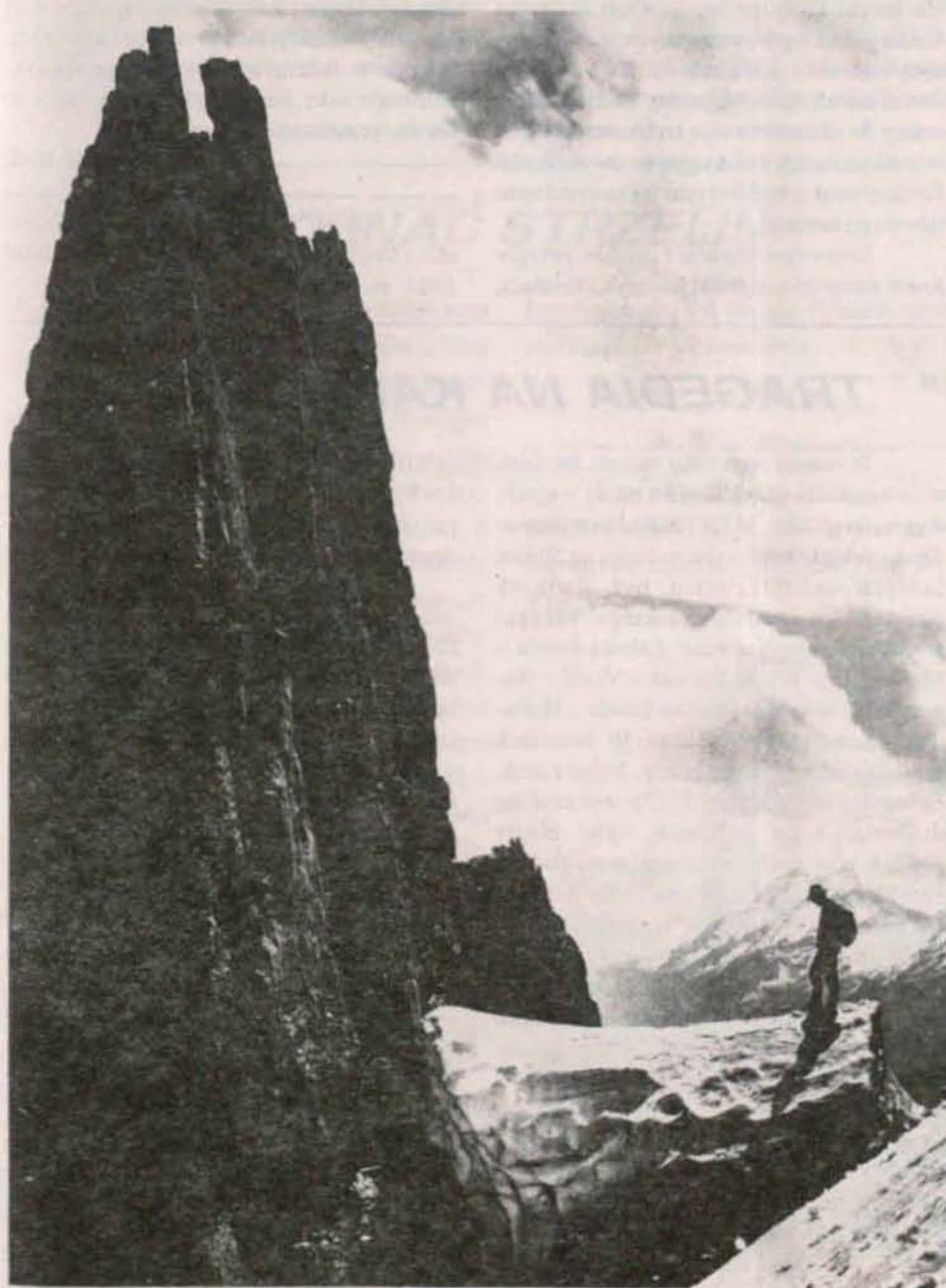
1993

ROK VII NR 11/53

GÓRY • TURYSTYKA • ALPINIZM

W NUMERZE M.IN.:

- W Europie po staremu, czyli niewiele nowości
- Cmentarz w górach
- Wycieczka w Karkonoszach (rok 1932). Część II
- Góry Stołowe – ósmy górski park narodowy
- Zagospodarowanie turystyczne Polski wg UKFiT
- Zamkowe opowieści (21)
- Szlaki turystyczne w Karpatach Polskich (17)
- Fotografowali Tatry (4)
- Kartka z Lipnicy Wielkiej
- Świętokrzyskie Sanktuaria Maryjne
- Spacerkiem po górach
- Góry i alpinizm



Alpy. Großer Rettenstein (2363 m). Foto: Archiwum Aleksandra Lwowa

Na Szlaku

Miesięcznik turystyczno-krajoznawczy
poświęcony górcom.
Czasopismo Polskiego Towarzystwa
Turystyczno-Krajoznawczego

Zespół redakcyjny: Piotr Dacko (red.
techniczno-graficzny), Aleksander Lwow,
Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny),
Andrzej Matuszczyk (Kraków),
Stanisław Nosol (sekretarz red.),
Ryszard Szlagor (red. wydawnictwa).

Sekretariat i administracja:
Małgorzata Podsiadło, tel. 386-69.

Stale współpracują: Tomasz Kowalik
(Warszawa), Józef Nyka (Warszawa),
Przemysław Pillich (Warszawa),
Juliusz Wysłouch (Toruń).

Adres Redakcji: 50-106 Wrocław,
Rynek-Ratusz 11/12, III p., tel. 386-69.

Wydaje: Oficyna Wydawnicza „Sudety”
Oddziału Wrocławskiego PTTK.

Redakcja zastrzega sobie prawo
adjustacji tekstów.
Materiałów nie zamówionych
Redakcja nie zwraca.

Druk: Drukarnia Uniwersytetu
Wrocławskiego

Numer archiwalne do nabycia
w Redakcji.

Prenumerata na rok 1994 (wraz z kosztami
przesyłki) wynosi 150 000,- zł.

Prenumeratę przyjmuje: Oddział Wrocławski
PTTK, Oficyna Wydawnicza „Sudety”,
50-107 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, III p.,

Bank Zachodni i O/Wrocław, nr konta:
389206-1515-132 z zaznaczeniem
„Na Szlaku”. Prosimy o czytelne
podanie adresu.

Stały kolportaż prowadzi: CIESZYN —
Sklep PTTK „Gronie”, ul. Głębocka 42;
GLIWICE — Księgarnia „U Piotra”,
ul. Arkońska 8; KATOWICE — PTTK,
ul. Dyrekcyjna 10; KRAKÓW — Sklep
Górski „Wierchy”, ul. Szewska 23; NOWY
SĄCZ — O/PTTK, Rynek 9; SZKLARSKA
POŁĘBA — Księgarnia „Libra”,
ul. Jedności Narodowej 10; ŚWIDNICA —
O/PTTK Świdnica; WAŁBRZYCH —
O/Wałbrzyski PTTK, ul. Lewartowskiego 2;
WARSZAWA — ZG PTTK, ul. Senator-
ska 11; WROCLAW — O/Wrocławski
PTTK, Rynek-Ratusz 11/12, O/Fabryczna
PTTK, ul. Wita Stwosza 15; ZAKOPANE —
Księgarnia Górską im. T. Staicha,
ul. Żurawieckiego 5 (Dom Turysty)
oraz Redakcja.

Recenzje

KOTLINA JELENIOGÓRSKA

Od dawna wiadomo, że przewodniki po jakimś terenie czytane są przez turystów, ale nie przez miejscowych, którzy zresztą najczęściej o nich nie wiedzą i nie ma kto ich do tego zachęcić. Najczęściej czynią to nauczyciele, dzięki którym młodzież może już wcześniej zapoznać się z dziejami i stanem obecnym własnej miejscowości i regionu. Potrzeba jest jednak znacznie większa, stąd od czasu do czasu (zbyt rzadko wszakże) ukazują się specjalne wydawnictwa regionalne. Oto dotarło do nas jedno z najnowszych, poświęcone atrakcyjnej części Sudetów Zachodnich. Książce nadano tytuł *Kotlina Jeleniogórska*, ale jednak niech on nie zmyli! Dotyczy ona bowiem nie tylko Kotliny, lecz i gór otaczających ją, w pierwszej mierze — Karkonoszy. Tak się historycznie złożyło, że mamy bardzo adekwatny do ukształtowania terenu termin *Ziemia Kłodzka*, ale dla drugiej co do wielkości Kotliny wraz z najbliższym jej sąsiedztwem takowego brakuje.

Omawiane *Obrazki z dziejów* przygotował znany jeleniogórski historyk i działacz,

a opublikował je Wojewódzki Ośrodek Metodyczny. Nie tylko jednak nauczyciele i uczniowie mogą z nich skorzystać. W sposób umiety autor wybrał najistotniejsze i najciekawsze epizody z przeszłości Sudetów Zachodnich w formie wypisów z dotychczasowych opracowań lub nieznanych materiałów, wiele pierwszy raz w języku polskim. Wartość podnosi udana okładka i liczne ilustracje, w tym Duch Gór. Jaka szkoda wszakże, że dopisano mu owo nieszczęsne miano *Liczyrzepy*! Sam jego twórca czy raczej translator Józef Sykułski wyparł się go już dawno. Także Tadeusza Stecia Rzepiór nie ma sensu. A przecież mamy arcy-słowiańskiego i arcydawnego Karkonosza! *Obrazki* Iwanek połączył słowem wiązaniem, nie tyle w formie komentarza, ile dla uzupełnienia toku narracji. W sumie rzecz to bardzo przydatna.

K.R.M.

Marian Iwanek: *Kotlina Jeleniogórska. Obrazki z dziejów* — Jelenia Góra: WOM 1993, ss. 127.

TRAGEDIA NA KARKONOSZU

W marcu tego roku minęła 80 rocznica najgłośniejszej karkonoskiej tragedii narciarskiej. Oto 24.03.1913 r. przeprowadzono zawody narciarskie w biegu na 50 km, których organizatorem był Związek Narciarski Królestwa Czeskiego. Przygotowano następującą trasę: Labska bouda — Martinovka — Wielki Szyszak — Violik — Nowa Śląska bouda — Vosecka bouda — Harrachovy kameny i z powrotem. W zawodach brało udział sześciu narciarzy. Jeden z nich, Bohumil Hanč (1886 — 1913), wykazał się doskonałą kondycją i wolą walki. Nagle jednak nastąpiło załamanie pogody i zawodnicy wycofali się. Na trasie pozostał jedynie Hanč, którego o tym nie zdołano poinformować. Pogoda pogorszyła się jeszcze bardziej, padający deszcz przeszedł w burzę śnieżną. Na Karkonoszu opadającego z sił zawodnika, zamiast sędziów, powitał przyjaciel — Vaclav Vrbata. Zauważył on krytyczny stan Hanča i mimo protestów oddał mu własną czapkę i skafander. Zawodnik ruszył dalej, ale jego organizm nie przetrzymał wysiłku i w trakcie akcji ratunkowej Bohumil Hanč zmarł. Vaclav Vrbata po rozstaniu z przyjacielem zabłądził i ponownie trafił na trasę biegu. Tam odnalazł porzucone narty Hanča i ciągle

go szukając sam padł z wyczerpania. O tym, że Vrbata zginął niosąc pomoc swemu przyjacielowi, dowiedziano się dopiero na drugi dzień.

Drobiazgowo, minuta po minucie, odtworzył to wydarzenie w swojej książce *Drama na Zlatém návrší* Miroslaw Rampa. Autor zbierał materiały do tematu od końca lat pięćdziesiątych, kiedy to jeszcze żyli świadkowie wydarzeń. Książka, którą można zaliczyć do literatury faktu, doskonale oddaje klimat tragicznych zawodów i zawiera szereg nieznanych faktów.

Robert Primke

Miroslav Rampa: *Drama na Zlatém návrší*, Hradec Kralove. Nakladatelství Vega 1993.

UWAGA PERĆ AKADEMIKÓW!

Informacja o Biurze Usług Przewodnickich na Markowych Szczawinach jest nieaktualna, już nie istnieje (dot. artykułu z numeru 7-8/93). Myślę jednak, że ratownicy GOPR z Markowych chętnie udzielą wszelkich porad o tym, jak bezpiecznie chodzić zimą po Babiej Górze.

Juliusz Wysłouch

Recenzje

RZECZ O BIELAWIE

Bielawa to małe, ale bardzo ciekawe miasteczko u podnóża Gór Sowich, chyba niesłusznie zbyt rzadko odwiedzane przez turystów. I to nie z myślą o nich, ale o jej mieszkańcach Urząd Miejski wydał pierwszą część „Kroniki Bielawy”, na ładnym papierze i ilustrowaną. Warto postarać się o zdobycie (bo chyba inna droga będzie mało możliwa) tej pozycji. Napisana została bowiem bardzo przystępnie, a jednocześnie z podaniem wielu materiałów i informacji pierwszy raz w języku polskim. Tworzą one malowniczą i interesującą panoramę podgórskiej miejscowości. Cezurą czasową jest rok 1740, moment rozpoczęcia przez zaborczego pruskiego króla Fryderyka II wojny (później nazwanej pierwszą) o Śląsk. Autor wykorzystał tu dorobek piśmienniczy i to w sposób umiety.

Tylko dla porządku należy stwierdzić,

że są i usterki, ale na tyle drobne, iż w żaden sposób nie wpływają na ogólną wysoką ocenę pracy. Dla przykładu jedynie zwróćmy uwagę, że o królu czeskim Jerzym należy pisać z Podiebradów, a nie z Podiebradu, jako że Podiebrady występują w liczbie mnogiej. Cesarz Matthias to po prostu Maciej. Określenie zbór odnosi się do społeczności wyznawców, a nie jest nazwą świątyni ewangelickiej – też nazywanej kościołem. Trochę niezręcznie było nazwanie psalmów śpiewanych przez ewangelików smętnymi. Że poważne na ogół, to fakt. Ale czy psalmy są smętne? Czekamy tedy na dalsze części.

K.R.M.

Krzysztof Pludro, *Kronika Bielawy*. Część I do roku 1740. B. wyd. (Wrocław 1993), ss. 55.

POZNAĆ STRZELIN

Nieduże, malowniczo położone na Przedgórzu Sudeckim, miasteczko u stóp ciekawych Wzgórz Strzebińskich, zostało dotkliwie zniszczone u schyłku II wojny światowej. Mimo to zachowało się w nim kilka nader atrakcyjnych zabytków (w tym romańska rotunda), co prawda czekających wciąż na odbudowę. Jednakże jego i okolic dzieje są arcyciekawe, stąd nic dziwnego, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat Strzelin doczekał się kilku poważnych i wartościowych opracowań. Ale wszystkie one zostały dawno wyprzedane. Tymczasem rosła nowa pokolenia, przybywają turyści. Wydawnictwo DTSK „Silesia” z Wrocławia postanowiło więc opublikować książeczkę, w niedużym formacie, a więc doskonale nadającą się do turystycznej kieszeni.

Autorzy, to wytrawni popularyzatorzy wiedzy regionalnej, stąd tekst jest strawny i obfitujący w konkretne informacje, doprowadzając rzecz do 1991 r. Można by co prawda troszeczkę powybrzydzać, czy zachowano właściwe proporcje: naszemu wiekowi poświęcono połowę objętości, w której kronikarskie zapisy o otwarciu szkoły czy czegoś podobnego chyba nie równoważą się z wieloma innymi, wcześniejszymi wydarzeniami. Ale to rzecz dyskusyjna.

Istotną pomocą jest wklejka z planem miasta, ułatwiający jego poznanie.

K.R.M.

Irena Czachowska, Janusz Czerwiński: *Strzelin. Zarys dziejów miasta*. Wydawnictwo „Silesia”: Wrocław 1992, ss. 70 + plan.



Strzelin – fragment romańskiej rotundy św. Gortarda z XII w. Foto: Archiwum

UWAGA NASI AUTORZY!

Wielu z naszych krajanów szuka dróg do międzynarodowych organizacji i takichże kontaktów. Niewątpliwie turystyka ogromnie to ułatwia. Daje też szansę współdziałania na szerszym polu, choćby europejskim.

Przynosi ją FIJET – Międzynarodowa Federacja Dziennikarzy i Pisarzy Turystycznych, powołana w Paryżu w 1954 r. Skupia ona ponad 1500 członków z ponad 50 krajów i ponad 40 organizacji krajowych. Celem jej jest pobudzenie aktywności turystycznej przy wykorzystaniu tej formy twórczości, przy czym każdy członek zobowiązuje się do obiektywizmu w swej pracy publicystycznej. FIJET organizuje corocznie kongresy, wyłącznie dla swoich aktywnych członków, w różnych częściach świata. Wydaje w języku angielskim, francuskim i hiszpańskim atrakcyjny magazyn „Vue Touristique”, który otrzymuje każdy członek. Bardzo prestiżowe znaczenie posiada nagroda Złotego Jabłka, przyznawana miejscowości i twórcom za popularyzację turystyki. W Brukseli prowadzone jest centrum z bogatą biblioteką turystyczno-krajoznawczą (Centre International FIJET, Rue Charles Martel 54, B – 1040 Bruxelles). Władze, a dokładniej ich biuro, umiejscowione jest aktualnie na Węgrzech: Sekretariat General FIJET, Lövház utca 22, H – 1024 Budapest. Członkiem można zostać przystępując do Polskiego Klubu Dziennikarzy i Pisarzy Turystycznych, zgłaszając się na adres Oficyny Wydawniczej „Głos Wielkopolski” sp. z o.o. j.v., ul. Grunwaldzka 19, 60-959 Poznań, tel. 61/66-60-41 w. 210. Składka wynosi 250 franków belgijskich oraz kwota przypadająca na członka Klubu po podzieleniu ogólnej składki na rzecz FIJET (3000 fr. belg.) według aktualnego stanu krajowego. W sumie jest to atrakcyjna sprawa i być może ktoś z grona naszych autorów zdecyduje się na kontakt z Federacją

dz

NOWOŚCI O ŁUŻYCZANACH

Latem ukazał się szósty z kolei numer „Zeszytów Łużyckich”, wydawanych przez Koło zainteresowań Kulturą Łużyczan Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego i Instytut Filologii Słowiańskiej UW. Informujemy o tym, gdyż w kręgu naszych Czytelników znajduje się sporo osób zainteresowanych samymi Łużycami (wszak są na nich i Góry Łużyckie) oraz Łużyczanami. Naród ten, topniejący niemal w oczach (a jest to ostatni tak daleko na zachodzie żyjący naród słowiański), przeżywa obecnie niezwykle trudne chwile. Musi on odnaleźć się w nowej, federalnoniemieckiej rzeczywistości. Nie jest to łatwe, o czym świadczą liczne artykuły i opracowania, przygotowane zarówno przez Polaków, jak i Łużyczan, i Niemca. Są tu próby rozliczania się z własną, niedawną, energiczną przeszłością, i stawianie pytań co do dalszej drogi i przyszłości.

Istotną część zeszytu stanowią opracowania teoretycznoliterackie i tłumaczenia współczesnej głównie poezji. Niezwykle ważne stało się podanie jednego z najbardziej doniosłych wierszy łużyckich, a mianowicie *Trwać musi Serbstwo* (Trwać dyrb! Serbstwo) narodowego poety Handrija Zejlerja (1804-1872).

Przy okazji należy pogratulować wydawcy wyraźnego wzrostu poziomu poligraficznego „Zeszytów”, które wystartowały w formie bardzo skromnej, zaś dziś prezentują się całkiem nieźle – łącznie z fotografiami.

K.R.M.

W połowie września odbyło się kolejne, doroczne posiedzenie Europejskiego Związku Wędrownictwa, już 24. Tym razem organizatorem był Bułgarski Związek Turystyki, a miejscem obrad hotel „Maljovica” w Rile przy znanej Centralnej Szkole Alpinizmu BST. Na 27 zrzeszonych krajów do Bułgarii dotarły delegacje z 17 krajów, co w obecnej sytuacji należy uznać za sukces. W końcu Bułgaria jest aktualnie praktycznie odcięta od Europy i można się do niej dostać tylko drogą lotniczą. Nie ma chętnych na przejazdy przez Serbię lub Ru-

nych zobowiązań. Była też mowa o otwarciu w 1992 r. w Świnoujściu szlaku E 9 (nadmorskiego do Braniewa) i E 8 (Przeł. Dukielska – Przeł. Beskid). Nie było żadnych uwag krytycznych pod adresem funkcjonowania szlaku E 3. Dyskusja dotyczyła tylko projektowanego szlaku E 11 (Słubice – Białowieża), ale tu większe problemy mają Niemcy, którzy dopiero teraz ostatecznie przyjęli naszą propozycję przejścia szlaku przez Słubice, a nie Kostrzyn, jak proponowali.

Posiedzenie Komisji zdominował problem dawnej Jugosławii, przez

sobą reprezentują. Okazało się, że mieliśmy rację, bowiem w tym roku do sąsiedniej w końcu Bułgarii już nikt z Rumunii nie przybył.

Podczas posiedzenia Komisji ustalono harmonogram prac przy wszystkich szlakach. Nas dotyczy uzgodnienie z Verband Deutscher Gebirgs- und Wandervereine o wspólnym otwarciu w 1995 r. szlaku E 11 na granicy polsko-niemieckiej.

Po posiedzeniu wszystkich komisji (także Wędrownictwa i Młodzieżowej), których ustalenia zaprezentowano potem na obradach plenarnych, odbyło się seminarium „Schroniska i szlaki” przygotowane przez gospodarzy, z referatem programowym Christo Pejczewa. Niestety, tym razem wystąpienia ograniczyły się do truizmów i nie wniosły nic interesującego. Większość organizacji członkowskich nie prowadzi własnej bazy noclegowej i nie zna tych problemów. Pewne ożywienie wzbudził tylko problem znakowania szlaków, a szczególnie, w jakim języku umieszczać napisy na tablicach informacyjnych i drogowych, aby były zrozumiałe także dla obcokrajowców (specyfika bułgarska i problem niezrozumiałej dla Europejczyków cyrylicy). Podobnie, jak większość delegatów, uznaliśmy, że napisy powinny być w języku kraju, przez który wiedzie szlak, jedynie nazwa organizacji lub ogólna nazwa szlaku może być w którymś z języków międzynarodowych.

Po południu miał miejsce kulminacyjny punkt programu, wyjazd do Borowca na otwarcie bułgarskiego odcinka szlaku E 8 – tak, tak, tego samego, który

W EUROPIE PO STAREMU, CZYLI NIEWIELE NOWOŚCI

munie. Widać to zresztą po prawie całkowitym braku turystów zagranicznych.

Dlatego też i delegacja PTTK (po raz pierwszy dwuosobowa) dotarła z Warszawy samolotem do Sofii. Okazuje się jednak, że mniejsza liczba turystów zaowocowała znacznym ograniczeniem połączeń lotniczych i znaczna część uczestników konferencji miała poważne kłopoty z wydostaniem się z Sofii, szczególnie w niedzielę, kiedy to lotów jest bardzo mało, my też musieliśmy wracać z przesiadką w Wiedniu. Tyle może o podróży, chociaż jej urozmaiceniem był na pewno widok ewakuacji samolotem „Lufthansy” rannych po wtorkowej katastrofie (my wylatywaliśmy w czwartek wieczorem). Po wylądowaniu w bardzo prowincjonalnym porcie sofijskim gospodarze wsadzili nas do mikrobusu i do północy wieźli na Maljovicę.

Rano rozpoczęła się konferencja European Ramblers Association. Jej program i przebieg były tradycyjne, a więc w piątek obrady w komisjach. PTTK jak zwykle najbliższy był program Komisji Szlaków Dalekobieżnych, której jestem członkiem. Prezydent ERA, a zarazem przewodniczący tej komisji, dr Robert Wurst, złożył sprawozdanie z rocznej działalności, omówił kontakty (w tym obszernie majowe spotkanie regionalne w Czechach na Šerlichu) oraz omówił kolejno szlaki w poszczególnych krajach. Na tym tle PTTK wypadło zupełnie dobrze, wywiązując się w całości z przyję-

którą prowadziły szlaki E 4, E 6 i E 7. Obecnie jedynie w Słowenii ich przebieg i dostępność nie budzi zastrzeżeń. Sytuacja w Bośni, Serbii i Macedonii zmusza do szukania alternatywnych przebiegów, co nie jest proste, m.in. ze względu na sytuację w Rumunii.

I tu właśnie zarysował się problem uczestnictwa Rumunii w pracach ERA. Wieloletnie próby nawiązania kontaktów z tym krajem zaowocowały przybyciem w ubiegłym roku na konferencję w Göteborgu delegacji dwóch studentów klubów turystycznych z Bukaresztu. Kluby te zostały przyjęte w poczet członków ERA, chociaż wielu członków (także i ja) miało poważne wątpliwości, czy te drobne organizacje rzeczywiście coś



u nas dotarł do Przeł. Beskid. Dalszy jego ciąg funkcjonuje dopiero w Bułgarii, bowiem przebieg przez Ukrainę i Rumunię oraz w Turcji jest raczej w marzeniach nawet niż w projekcie. Natomiast w drugą stronę, od Przeł. Beskid, jest już wyznakowany do Amsterdamu. Brakuje tylko odcinków dalszych, przez Anglię i Irlandię.

Cała uroczystość, z należytą pompą, odbyła się na placu pomiędzy dolną stacją kolejki gondolowej na Jastrzebec a hotelem „Samokow” (zresztą wzniesionym przed kilku laty przez Polaków, podobnie jak większość hoteli w Borowcu). Zgodnie z moim oczekiwaniem wystąpił nieśmiertelny chór reprezentacyjny BST (w mocno już podeszłym wieku, ale z zapałem jodlujący tyrolskie piosenki, co wzbudziło aplauz dość licznej grupy Niemców; były też pieśni bułgarskie, ale jakby w mniejszości). Potem wystąpił chór dziecięcy „Wilczęta” – a więc przynajmniej pod tym względem przyszłość Bułgarskiego Związku Turystycznego jest zapewniona. Prezydenci BST (Stefan Grujev) i ERA (Robert Wurst) wygłosili stosowne przemówienia, obejrzeni pokaz mody sportowo-turystycznej i zgodnie przecięli wstęgę, polewając ją obficie wodą na szczęście, według miejscowego zwyczaju.

Potem były do wyboru: albo konferencja prasowa w hotelu (czyli przyjęcie), albo wyjazd kolejką (na własny koszt, chociaż w ramach programu) na Jastrzebec. Wybraliśmy ten wariant, aby choć przez chwilę porozkoszować się panoramą Musafy w wieczornym słońcu.

Następnego dnia odbyła się główna część konferencji, posiedzenie plenarne. Zaczęło się tradycyjnie od zatwierdzenia protokołu z poprzedniego kongresu i przedstawienia sprawozdania rzeczowego (prezydent) i finansowego (skarbnik). O ile sprawozdania nie wzbudziły kontrowersji, o tyle projekt budżetu na 1994/95 rok, prezentowany przez skarbnika Ingemunda Hägga ze Szwecji, wywołał prawdziwą burzę i wielogodzinną dyskusję. Okazało się, że ERA ma aktualnie niewielki deficyt, wynikający m.in. z faktu, iż 7 organizacji członkowskich nie wniosło składki. Po ożywionej dyskusji uchwalono podniesienie składki o 30 %. Brzmi to groźnie, ale w końcu chodzi aż o 90 DM od organizacji rocznie. Musi dziwić zawziętość dyskusji, zwłaszcza ze strony organizacji z najbogatszych krajów, które na pewno stać

na pokrycie takich kosztów. Uchwalono też zmianę w statucie, zobowiązującą prezydium do skreślania z listy członków organizacji, które przez dwa lata nie opłaca składki.

Na koniec przystąpiono do przyjmowania nowych członków. Na pierwszy ogień poszły: Klub Czeskich Turystów i Klub Słowackich Turystów, które po podziale Czechosłowacji musiały wstąpić ponownie, już osobno. Następna w kolejce była dziwna organizacja „Mouvement Europeen Jeunes et Montagnes” – dziwna, bowiem właściwie nie wiadomo kogo zrzesza, ilu ma członków, w jakich krajach i czym się zajmuje. Od jej skądinąd miłej prezeski, usłyszałem tylko, że nie wie ilu członków i skąd zrzesza, bowiem nie prowadzi żadnej ewidencji, nie wydaje legitymacji, nie posiada struktury organizacyjnej, a jej członkowie uprawiają turystykę. Po gorących sprzeciwach przedstawiciela oficjalnej organizacji francuskiej (i części członków) organizację tę przyjęto w poczet ERA, o czym chyba zadecydowała aparycja jej szefowej. Jeszcze dziwniejsza sytuacja była z Estońskim Związkiem Wędrownictwa, który formalnie zgłosił się, ale zamiast delegacji przysłał pismo z prośbą o zaoczne przyjęcie, ponieważ nie stać ich na przyjazd. Większość członków przychyliła się do tej prośby i EWV przyjęto, nawet nie wiedząc dobrze, co to za organizacja i jakie ma rokowania na przyszłość. Po prostu obecnie w Europie jest moda na wszystko, co się pojawia „po bytym” i każda organizacja z państw postsowieckich jest atrakcyjna. Zdołałem tylko wytłumaczyć, że jakiś klub alpinistyczny z Dniepropietrowska, to niekoniecznie zaraz reprezentacja Ukrainy, i nie musi być natychmiast przyjęty z honorami tylko dlatego, że napisał list do Duńskiego Związku Turystycznego. Wiadomo, że część prezydium ERA za wszelką cenę stara się wyjść ze szlakami dalekobieżnymi za naszą wschodnią granicę, nie zdając sobie sprawy z tamtejszych uwarunkowań i możliwości. Nie przyjęto natomiast klubu z Porto w Portugalii, skąd nie przybył przedstawiciel.

Na zakończenie interesujące wystąpienie miał wiceprezydent ERA Arthur Howcroft z Anglii, przewodniczący Komisji Wędrownictwa. W związku z przypadającym w 1994 r. 25-leciem istnienia ERA zastanawiał się nad przyszłością organizacji. Główne tezy jego wystąpienia nawiązywały do: pogarsza-

jącego się stanu środowiska; braku dobrych metod propagowania tego problemu w wielu krajach; wrogości pomiędzy ludźmi z różnych krajów, wrogości kultur i religii; ryzyka, że szlaki ERA nie będą utrzymywane za pieniądze publiczne, konieczne jest tu uzyskanie wpływów w Brukseli, w ramach jednoczącej się Europy.

Dla rozwiązania tych problemów ERA musi określić priorytety swojego działania, wypośredkować swój profil w konflikcie turystyka – ochrona środowiska. ERA musi stać się organizacją „użytkowników” środowiska poprzez wędrówki. Musi kłaść nacisk na lokalne problemy we wszystkich krajach. Powinno się propagować wędrówki Dalekobieżnymi Szlakami Europejskimi, szczególnie wśród młodzieży.

Dokonać tego należy poprzez 4 główne formy działania:

- szeroką informację o tym, jak uprawiać turystykę w zgodzie z naturą;
- uzyskanie poparcia jakiegoś lobby w Brukseli, uczestnictwo w działalności międzynarodowej, kontakty z innymi organizacjami międzynarodowymi, przygotowanie seminariów i spotkań regionalnych;

- organizowanie wyjazdów i wycieczek członków do innych krajów na szlaki ERA, zbieranie i rozpowszechnianie informacji o możliwościach wędrówek po nich;

- przygotowanie raportu o stanie szlaków dalekobieżnych z uwzględnieniem opinii organizacji krajowych.

Wywołało to dyskusję, która przerodziła się w seminarium prowadzone w trzech zespołach: spraw organizacyjnych, finansowych i wędrówek. Przedstawiciele chyba wszystkich organizacji zaprezentowali swoje kłopoty lokalne i specyfikę turystyki, szczególnie w aspekcie problemów (czytaj: kłopotów) ochrony przyrody.

Na tym część robocza konferencji zakończyła się, a potem, w sobotę po południu były już tylko wycieczki – oficjalna wiodła do schroniska pod Maljovicą. Mnie natomiast wyciągnął na swoją prywatną, prywatnym nieznakowanym szlakiem, Iwan Kandełaki, wieloletni wykładowca szkoły w Maljovicy, który już dawno odgrażał się, że pokaże mi góry Bułgarii. Stwierdzam, że jest to człowiek słowny, ale to już zupełnie inna historia.

Marek Staffa

Cmentarz w górach

Góry jako przestrzeń śmierci pojawiły się jednocześnie tak w ikonografii, jak i literaturze pierwszych lat XIX w. Sięgnięcie przez artystów pędzla i pióra po tematykę śmierci, usytuowanie jej w pejzażu górskim świadczyło nie tylko o ówczesnej modzie, obowiązujących konwencjach kreowania świata, lecz także o nowym sposobie widzenia, opisywania krajobrazu, nowej skali wrażliwości oraz ekspresji. Stąd motywy funeralne (groby, mogiły, cmentarze, krzyże grobowe) wkomponowane w krajobraz górski powracały wielokrotnie w różnorodnych ujęciach artystycznych.

Jednym z pierwszych, którzy w swoich obrazach podejmowali tematykę śmierci, był niemiecki malarz Caspar David Friedrich. Już *Krzyż w górach* przesycony został w znacznym stopniu poczuciem kresu, końca, jednakże pełniejszą realizację tego motywu przyniósł dopiero obraz *Śmierć w grocie stalaktytowej*, epatujący grozą i destrukcją. Podobnie groby wojowników (*Grobowce wojowników o wolność*) usytuowane zostały pomiędzy niedostępnymi i groźnymi skalnymi blokami. W górską przestrzeń wkomponowany został także przeuroczy cmentarzyk pokryty jasnym śniegiem w obrazie ucznia Friedricha – Carla Gustava *Cmentarz w Oybin*.

Spojrzenie na góry, jako na przestrzeń śmierci i zniszczenia, charakterystyczne było także dla polskich poetów okresu romantyzmu. Nie należy jednak zapominać, że właśnie w wieku XIX strach, powodowany niedostępnością gór, przełamany został ostatecznie. Romantyk odkrył góry, ich urok, czar i piękno, jednocześnie dostrzegając czyhającą nań w tej przestrzeni śmierć. Wiadomo także, że szczególnym zainteresowaniem w pierwszej połowie XIX w. cieszyły się Alpy. Najokazalsze europejskie góry zwiedzili także poeci polscy tej miary, co Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński czy Antoni Edward Odyniec. Swoje spostrzeżenia, myśli, uwagi i refleksje z tych górskich wędrówek zawarli w przebogatej gatunkowo literaturze (zapiski, listy do krewnych i znajomych, dzienniki z podróży, utwory liryczne itd.). Przegląd tego literackiego materiału, pod kątem obecności w niej motywów górskiej śmierci, przynosi wyjątkowo ciekawy i bogaty materiał. Uwrażliwienie na śmierć, tak charakterystyczne dla romantyka europejskiego, nie było więc w tym okresie obce i literaturze polskiej.

Ogromne wrażenie na turystach zwiedzających Alpy robiły ruiny zasypanych lawiną skał wsi alpejskich. Wspomnienie tego wstrząsającego sprzed lat dramatu (wydarzenie to miało miejsce w 1806 r.) pojawiło się najwcześniej w literaturze polskiej w liście Kazimierza Brodzińskiego adresowanym do szwagra, Franciszka Armińskiego (1824): *Góra Rufi najwięcej mnie zajęła... Pod tą górą była wieś Goldau o rozkosznym położeniu, obfita w ogrody i winnice. Przed 20 lat o zachodzie słońca oberwała się ogromna góra Rufi i w ciągu czterech minut tak zasypała, że śladu ani drzew, ani chat nie zostało. Przy tym ogromnym wstrząśnieniu cofnęło się jezioro i w tejże chwili sąsiednią wieś zalało. Patrz! jak można o Opatrzności wątpić, gdy dzieci i czeladź z bydłem z paszy powracającą domy i ojców zasypanych zastała*. Literacką realizację tego motywu przyniósł utwór Brodzińskiego *Wiersz pisany na Alpach*. Odwoływał się w nim poeta do wcześniej

opisanego wydarzenia, budując obraz na zasadzie kontrastu: zestawienia wieczornej ciszy, przerywanej tylko spokojnym dzwonu wołaniem, z hukiem opadającej niespodziewanie oderwanej skały:

*Gdy utem grzmot się piorunny na milę rozderzył,
Padła z odwiecznych posad niebotyczna góra
I rumami dolinę zaległa jak chmura.*

W ciągu jednej sekundy matka natura dokonała dzieła totalnego zniszczenia, pochłaniając pod lawiną kamieni setki istnień ludzkich:

*Śpią już w grobie głębokim – z paszy wracające
Błądzą dzieci z trzodami, z kochanej dziedziny
Grób tylko ojców został i smutne ruiny.*

(K. Brodziński, *Wiersz pisany na Alpach*)

Motyw zasypanej wsi powrócił ponownie we wspomnieniach Franciszka Odyńca i Zygmunta Krasińskiego, którzy razem zwiedzali miejsce alpejskiej tragedii. Odyniec w *Dziennikach z podróży* opisywał, w oparciu o relację naoczego świadka wydarzeń, który mieszkał w tym czasie, gdy rozgrywał się cały dramat, po drugiej stronie jeziora: *Nagle o godzinie 5 z południa straszliwy łoskot rozległ się w powietrzu. Drzewa na górze zaczęły poruszać się same, bez wiatru, i raptem cała wierzchnia część góry, 500 przeszło stóp wysokości mająca, zsunęła się i runęła na dolinę, zagrzebując w swych gruzach cztery te wsie z 500 mieszkańcami i zasypując część jeziora Lowerz. Zasypane podnóże góry odbierane było przez romantycznych turystów jako przestrzeń porażającej śmierci: *Cała dolina ma dzisiaj pozór olbrzymiego cmentarza lub miasta zruwanego w gruzy*, konkludował poeta. Podobnie Zygmunt Krasiński nie oparł się pokusie oddania dramaturgii wydarzenia, chociaż opisał to zgoła inaczej: *Przebyliśmy dzisiaj zwałiska Rossenbergu. W roku 1806 część tej góry runęła i zasypała zwałami skał cztery wsie i czterystu mieszkańców. Teraz trawa i krzaki rosną już na ich mogiłach. Nagrobki ich są olbrzymie skały, a mech jest im jedynym napisem*.*

Jak widać z przytoczonych wyżej relacji, istniała spora rozpiętość co do podawania liczby ofiar katastrofy. Dla nas jednak ten fakt ostatecznie jest już bez znaczenia. Ważniejszym i ciekawszym był, odnotowany zarówno przez Brodzińskiego, jak i Odyńca, powrót na tym terenie do normalnych form życia. Mieszkańcy alpejskich wsi uznali konieczność pogodzenia się z tragedią i ze śmiercią swoich najbliższych. Stąd obok symbolicznego cmentarza oznakowanego wielomównymi głazami pojawiło się normalne życie.

Przerażająca moc lawiny, nieokiełznany ogrom żywiołu stał się tematem znanego obrazu Williama Turnera *Szałas zniszczony przez lawinę*. Brakowało tam może bezpośrednich akcesoriów *vanitas* i domysłowi odbiorcy pozostawił artysta wymiar tragedii, a pomimo to wymowa i ekspresja dzieła była przeogromna. Podobnie jak polscy poeci, utrwalił Turner dzieło zniszczenia tego, co zostało rękoma człowieka wkomponowane w przestrzeń górską. Paralelnie więc zestawień można scenę zasypanych i zniszczonych wsi ze zniwiedzonym lawiną szalasem.

Motyw walącej się góry pojawił się także w mało stosunkowo znanym wierszu Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego *Poeta w górach*. Aby oddać niesamowity efekt akustyczny spowodowany hukiem lecącej lawiny,

zastosował artysta gradację kolejnych odgłosów: od szumu, szelestu, błysku, gromu i wreszcie „burzy wrzającej i wścieklej”, po ciszę grobów, która oddziela od siebie poszczególne etapy żywota. Ta cisza była preludium do największego dramatu:

*Przebóg! cóż to za rozgłos, jaki huk głęboki,
Wszystkie echa zagrzmiaty, wszystkie drzą opoki;
Zdaje się, że ze straszliwym oddartą łoskotem
cała góra z okropnym zawała się grzmotem.*

Obraz odmiennego górskiego cmentarzyska przyniósł jeden z listów Juliusza Słowackiego skierowany do matki. Na podróżującym po Alpach pocie ogromne wrażenie wywarł najpierw skromny pogrzeb w górach, którego był naocznym świadkiem, później swoista kostnica usytuowana na Przeł. św. Bernarda, kryjąca w sobie z mumifikowane zwłoki ludzkie odnalezione w śniegu: *O uschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb ubogiego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków (...). Blisko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok. W różnych pozycjach siedzą – leżą – jedni do szkieletów podobni, drudzy czarną skórą powleczeni... okropny widok. Oglądany na przełęcz obraz, zapewne nie mieszczący się w ówczesnej estetyce, budził przeogromne zainteresowanie, czy pewnego rodzaju fascynację wyzwalającą dreszczyk emocji u podróżnych i turystów. Jeszcze drastyczniejszy obraz tego samego pomieszczenia pojawił się w Dziennikach Krasińskiego: *Potem udaliśmy się do budynku mieszczącego ciała podróżnych, którzy zginęli w śniegu. Okropne ich kształty znaczą się kościstymi i chudymi zarysami na czarnym murze, a ich białe całuny są jedyną draperią tego żałobnego miejsca. Jedni stoją, drudzy leżą na kamieniach. Między nimi zauważyłem trupa kobiety, trzymającego w sinych i martwych ramionach szczątki dziecka. Tak ją znaleziono na górze w pośrodku zimy (...).* Podobnie więc jak Słowacki, podkreślał poeta niesamowitość oglądanej kostnicy. Śmierć tak dziwnie zniekształca umarłych, śnieg i mróz z mumifikował zwłoki, przydając im jednocześnie niesamowity wygląd (*usta trupów współtzwarte od skurczów chwil ostatnich, włosy przyplaszczone, szkielety podobne do okaleczonych posągów*).*

Ten specyficzny górski cmentarz, bo za taki niewątpliwie należy uznać kostnicę usytuowaną w obrębie alpejskiego masywu, miał ogromną wymowę. Z jednej strony *wszystko to przejmuję przerażeniem i grozą* –

stwierdzał Krasiński, z drugiej było owo pomieszczenie symbolem wielce wymownym, symbolem górskiej tragedii i niebezpieczeństw związanych z penetracją tejże przestrzeni. Podobną zresztą funkcję w realiach polskich pełniło epitafium z szarego marmuru wmurowane w kaplicy na Śnieżce, a poświęcone Józefowi Odrowążowi-Pieniążkowi. Zamieszczono tam tekst, który brzmiał następująco: *Dla Józefa Odrowąża-Pieniążka, który w podróży swojej był i w tym miejscu, a do Kraju i rodziny nigdy nie powrócił, od roku 1828, niepokieszone rodzeństwo prosi o Zdrowaś Maria.* Wymieniony w epitafium był młodym warszawskim studentem (pochodzącym ze znanej rodziny), który wszedł na szczyt Śnieżki, skąd ruszył w dalszą drogę. Turysta najprawdopodobniej pomylił jednak drogę i utonął w bagnistych torfowiskach Równi. Wymowa epitafium była czysto umowna, co jednak w niczym nie deprecjonowało jej ważności i wartości. Okolice Śnieżki stały się najprawdopodobniej ostatnim miejscem spoczynku, stąd symbolika tej wmurowanej przez najbliższych tablicy, która upamiętniać powinna rozgrywający się w pobliżu szczytu dramat.

W wyjątkowo pięknym, acz mało dostępnym miejscu, nieomal „na końcu świata”, na Szpicbergu, umiejscowił mogiłę Leon Janiszewski. Dominowała w tej przestrzeni cisza przeplatana tylko „jękami fal” i „wichru wyciem”. W takim ustronnym miejscu, z dala od siedzib ludzkich, w izolacji od świata żywego, sytuowała się samotna mogiła:

*I na tej skale, co jest końcem świata,
Spostrzegam szczątki samotnej mogiły:
Już wichur rozniósł z kamieni osłonę
I resztę kości po śniegach rozmiata.
Tylko nad miejscem, gdzie były złożone
Szczędzony burzą sterczy krzyż pochylony.*

(Leon Janiszewski, *Mogiła na Szpicbergu*)

Uważny czytelnik może doszukać się w tym wierszu proveniencji malarskich (w szczególności Krzyżu w górach C. D. Friedricha). Bez wpływu na utwór nie pozostawała także modna w pierwszej połowie XIX w. „poezja grobów”. Podobnie zresztą góry jako przestrzeń śmierci, a krzyż wkomponowany w ten krajobraz jako jej symbol, odebrała Lucja Rautenstrauchowa: *Wszystko tam w harmonii, wszystko jednostajnie o śmierci przemawia, barwę je nosi. Duży krzyż żelazny, czarny, nad Czarnym Stawem wzniesiony, doskonale je dopełnia, a kilka żałobnych akonitów, tak ciemnych, jakby na grobach wzrosły, kołyszą ciągle swe smutne czoła.*

(L. Rautenstrauchowa, *Miasta, góry i doliny*)

Z ogromnym liryzmem próbował L. Janiszewski oddać dramat konającego na skale człowieka. Stąd ostatnie wersy utworu oddawały cześć i hołd zmarłemu:

*Błogosławiony! chociaż jego kości
Na dzikiej skale bez pomnika leżą,
Choć ziemia łozem, niebo mu odzieżą.*

(L. Janiszewski, *Mogiła na Szpicbergu*)

Przestrzeń górską ewokowała i nadal ewokuje myśli o śmierci i umieraniu, stąd nie należy dziwić się temu, że wielokrotnie w jej obrębie sytuują się symbole *vanitas*, miejsca ostatniego spoczynku, tak rzeczywiste, jak i umowne (najlepszym bodaj przykładem tego ostatniego jest wspomniana kaplica na Śnieżce, czy symboliczny, kreowany na wzór słowackiej Osterwy, cmentarz pod Śnieżką). Rodowód tego zjawiska, trwającego do dnia dzisiejszego, pozostaje jednak romantyczny, bo właśnie ikonografia i literatura pierwszej połowy XIX w. wprowadziła cmentarz – także górski – w obręb artystycznego zainteresowania.

Ewa Słoka



Cmentarz z I wojny światowej na Przeł. Małastowskiej w Beskidzie Niskim. Foto: Wojciech Dach. III nagroda w I-szym KFT „Impresje na plecaku i obiektyw”

2 lipca. Zbudzeni wcześnie ślicznym słońcem przygotowujemy śniadanie i zaraz wychodzimy w dalszą drogę, mając rozległy widok i zupełnie czyste niebo nad sobą. Obok dużej budy Śpindlerovki (1215), do której mogą dojeżdżać auta ze Szpindlerowego Młyna, wstępujemy na główny szlak grzbietowy, stanowiący tu cały czas spacerową ścieżkę i po niemieckiej stronie posuwamy się pod szczytem Małego Szyszaka (1442 m) i Małego Koła (Tępy Szczyt – 1388 m), mijając i spotykając dość wielu turystów, wyłącznie prawie Niemców. Widok na leżącą u stóp wieś Hain (Przebieka) i całą kotlinę Hirschbergu jest wspaniała. Ponieważ dalej główny szlak odsuwa się blisko na kilometr od granicy, boimy się tak daleko zapuszczać bez paszportów, więc zbaczamy na linię graniczną i posuwamy się nią na Srebrny Grzebień (Srebrny Upłaz – 1485 m). Tutaj otwiera się przed nami druga olbrzymia prawie równia szczytowa Karkonoszów, tzw. Płań pod Śnieżką (Koppenplan – Równia pod Śnieżką) i niedaleka już piramida samej Śnieżki, stercząca za tą łąką olbrzymią i miejscami podmokłą. Kierujemy się tu ku SE, idąc tuż przy granicy, ale już po czeskiej stronie, mijamy i przekraczamy mnóstwo młak, torfowisk i potoczów, które biorą początek na tej bardzo silnie nawodnionej szczytowej równi. Dalej dochodzimy pod źródła Białej Łaby, bardzo zimne, obficie tu z nawilgłych płaszczów roślinności wypływające.

Pod nimi krótko wypoczywamy. Obok stoi Lučni Bouda, potężny czteropiętrowy drewniany budynek, mogący pomieścić przeszło 1000 turystów, największe i zarazem najstarsze (od r. 1623!) schronisko Karkonoszów. Od S zastraszają budę łagodnie wznoszące się garby Łucznej Góry (1555 m – Lučni h.) i Kamenitej Plani (1560 m – własc. Studnični h.), najwyższe po Śnieżce wzniesienia w Karkonoszach. W zagłębieniach od północy dochowało się dotąd kilka płatów śnieżnych. Teraz trawersujemy wskos łąkę, podążając drogą jezdnią, którą idzie się obok drutów telefonicznych i elektrycznych umieszczonych na słupach 1,5 – 2 m wysokości (ze względu na śniegi i wichry zimowe), co daje oryginalny bardzo widok. Przekraczamy niewidoczny dział wodny między Łabą a Upą i przechodzimy obok źródeł tej ostatniej, mając cały czas wspaniałą panoramę na majestatyczny gmach Śnieżki, coraz to zbliżający się. Dochodzimy wreszcie do niemieckiego schroniska Schlieserhaus (Śląski Dom) i czeskiej Obři Bouda (nie istniejącej), w pierwszym kupujemy widokówki i zostawiamy plecaki,

by swobodniej pomaszzerować na Śnieżkę. W międzyczasie niebo trochę się zachmurzyło. Od Obrzeży Boudy ścieżka wznosi się stromiej (200 m) i cała ta szczytowa piramida pokryta jest gołoborzem granitowym, przypominającym silnie Gorgany. Na szczyt wiodą dwie drogi: nowsza piaskiem wysypana, bardzo łagodnie wznosząca się

widać naprzód głęboką dolinę Łomnicy z pięknym wodospadem-siklawą, niżej rozbudowane silnie w ostatnich czasach letniska niemieckie: Krummhübel (Karpacz) i Querseifen (Płóczki), dalej całą kotlinę Hirschbergu jak na dłoni i dolinę Bobrawy (Bobru) przecinającą się dalekimi wzgórzami na niziny Dolnego Śląska. Ku W poza kotłem

WYCIECZKA W KARKONOSZACH (rok 1932) Część II

dokoła, starsza wprost na szczyt wiodąca wśród złomisk skalnych, także niezbyt stroma. Wychodzimy nią do góry. Na największym cyplu szczytu stoi niemieckie obserwatorium i stacja meteorologiczna I rzędu, budynek 1-2-piętrowy, szalowany całe drobnym łupkiem i przyczepiony ze wszystkich 4 stron silnymi linami stalowymi do haków wbitych w skały. Widać, jak strasznie muszą tu szaleć wichry, że okazała się potrzeba aż takiego zabezpieczenia. Obok stoi ładna kapliczka św. Wawrzyńca z r. 1681, poza Alpami najwyższy chyba kościółek murowany w Europie. Ciekawe bardzo, że jest tu nagrobek (tablica pamiątkowa) jakiegoś p. Pieniżka z Warszawy z napisem polskim i łacińskim, głosząca, iż ów Polak podróżując po świecie tutaj w Karkonoszach pod koniec wieku XVIII-ego zaginął. Rzecz to ciekawa! Wreszcie stoją tu na szczycie dwa schroniska czeskie i niemieckie, obydwie przez Niemców zagospodarowane, bardzo drogie (z muzyką). Szczyt Śnieżki (1603 m), najwyższy punkt Czech i w ogóle łuku Waryscyjskiego Europy Środkowej użycza wspaniałego widoku. Ku N

Obrzeżu Dołu wspaniale widnieje siklawka Upy, spadająca z progu pod Koppenplanem, cały Koppenplan, dalej kwarcytowy grzbiet Kozich Grzbietów, jedyna dość ostra grań w Karkonoszach, cały główny grzbiet, którym przechodziliśmy wczoraj z dominującym w dali Wysokiem Kołem (1506 m) i obok leżącą Łabską Łaką, wreszcie słabo rysują się grzbiety Gór Izerskich. Ku S bardzo stromo i głęboko (do 600 m) opada stok na dno Obrzeżu Dołu, największego kotła lodowcowego Karkonoszów, zaczynającego malowniczo i potężnie długą dolinę Upy. Pasma górskie z tej strony ciągną się daleko, ostatnią wybitną górą jest Czarna Góra (1299 m) nad Jańskimi Łaźniami, na której szczyt wiedzie wisząca linowa kolejka otwarta w 1928 r. (3105 m długości). W dali ku SW rysują się Trosky, Kozakov itd. Ku E Waldenburg (Wałbrzych) i całe zagłębienie węglowe, okolice Żaclerza i Wronie Góry (Góry Kruce), skały Broumowskie i góry Heuscheuer (Góry Stołowe), słabiutko Kralicki Śnieżnik (1422 m).

Zaledwie mieliśmy czas nacieszyć się widokiem, od północy nadciągnęła mgła



Riesengebirge. Ziepenfrüchte 1424 m. ü. M.

i chłód, co było dobre, bo pozwoliło nam poznać, jak prędko obniża się tu temperatura nawet w środku lata, gdy tylko słońca braknie. Wobec tego, że nad Querseifem powstała burza, zabraliśmy się do powrotu. Odebrawszy plecaki z Domu Śląskim poczęliśmy schodzić na dno Obrzege Dołu.

Jakie są ogólne wrażenia z Karkonoszów? Niezwykle piękna, jak na tutejsze stosunki pogoda, pozwoliła nam wykorzystać krótki pobyt i poznać charakter gór. Są one mocno przekulturowane, co się objawia w gęstej sieci olbrzymich schronisk, wygodnych ścieżek, znakowań itp. Jednak kryzys obecny odbił się widocznie na turystyce, gdyż nie spotykaliśmy znów liczby turystów odpowiadającej ilości schronisk i te olbrzymie hotele i budy stały smutno prawie puste. Silnie przeważa turystyka niemiecka. Typowi dla Sudetów żebracy z harmonjami występują tu często. Bardzo ostro zaznacza się typ gór kadłubowych, zwłaszcza płaskie łąki szczytowe są unikatami. Widać, że klimat tu surowy i bardzo wilgotny – śnieg leży w lipcu po szczelinach, podmokłe lasy świerkowe, torfowiska i rozległe młaki, mnóstwo źródeł. Przez to góry ponure odbijają silnie od Karpat, nie tylko wyglądem, lecz i nastrojem. Hałasu na ogół nie ma, przy takiej frekwencji i udostępnieniu cisza dość utrzymywana. Geograficznie góry są bardzo ciekawe i są dla siebie skończonym typem.

Następuje zejście na dno Obrzege Dołu, dość strome wśród kosówki, a potem przez las obok domostwa Kovarna. Wspaniały tu kocioł połodowcowy, którego dnem płynie Upa, a obok niej rozlegają łąki zdobne różnobarwnymi kwiatami. Doliną wędrujemy w dół, mijając rozrzucone zrzadka charakterystyczne góralskie domki, obok których leżą wszędzie stosy rąbanego drobnego drzewa opałowego, ułożone w regularne okrągłutkie kopki. Po drodze przechodzimy obok ciekawych odsłoneń łupków łyszczykowych i widzimy resztki huty arsenowej, gdzie z rud otrzymywano czysty arsen. Nie wiele dalej osiągamy letnisko Pec (Petzer), gdzie najmujemy auta i każemy się odwieźć do stacji kolejowej Svoboda-Jańskie Łaźnie. Jazda w dół dość gęsto już zamieszkaną okolicą przeprowadziła nas przez obszar typowo letniskowy (masy mieszkań do wynajęcia). Widać groźnie kłębiące się chmury nad Karkonoszami, gdzie pogoda się zepsuła, a więc w sam czas usunęliśmy się z gór. W małym miasteczku Svobodzie wsiadamy do pociągu, który dowozi nas do Trutnova (Trautenau), gdzie mamy godzinę czasu do następnego pociągu.

Antoni Wrzosek

Z historii mniej znanej

Schroniska turystyczne

Wielu spośród nas chętnie podczas turystycznych wędrówek korzysta z noclegów w schroniskach turystycznych. Często dość obojętnie podchodzimy do swego rytuału pobytu w obiekcie, nie zapoznając się nawet z jego ostatnią chociażby historią. Tymczasem jest ona bogata i ciekawa. Poniżej przedstawiam fragment dziejów schronisk turystycznych.

Pierwsze hotele i schroniska noclegowe powstały w Grecji, Rzymie i na Wschodzie przy świątyniach będących celem pielgrzymek.

Hotelarz zwany był potocznie *caupo*, a prowadzący gospodę z gospodarstwem rolnym – *stabularis*. Sobór w Nicei w 325 r. polecił organizowanie w każdym mieście gospód dla podróżnych o greckiej nazwie *xenodochium*.

Już w V w. na polecenie króla Chilperyka powstała gospoda na obszarze obecnej Szwajcarii. Schroniska, zwane hospicjami w 822 r., powstawały m.in. w Szwajcarii i Włoszech.

Dopiero w XVII w. oddzielono w gospodach funkcję żywieniową od noclegowej, z osobnymi pomieszczeniami dla lepszych gości i dla pospółstwa.

Na wsiach powstawały polskie karczmy, gdzie szerzyło się pijaństwo, a nazwy ich brzmiały: Czekaj, Łapigrosz, Pohulanka, podobnie i w innych krajach.

Wiek XIX przyniósł zwyczaj nocowania w najbliższym dworze, co doprowadziło do upadku znaczenia gospód.

Na przełomie XVIII i XIX wieku zaczęły powstawać hotele, pierwszy w 1794 r. w Nowym Jorku („City Hotel”). W Europie w latach 1807-1809 otwarto „Badischer Hof” w Baden koło Rastatt w Bawarii, w Rzymie – „Hotel di Londra”, „Grand” w Paryżu, „Kaiserhof” w Berlinie. Pierwsza gospoda o znaczeniu hotelu w Warszawie nazywała się „Gielda”; otwarta została w 1620 r. przy ul. Długiej.

Z kolei prześledźmy historię schronisk stricte turystycznych w Polsce, gdy pierwsze powstawały w Alpach. Jak było na polskich ziemiach? Już w 1806 r. na Babiej Górze stanął

prymitywny schron z okazji pobytu arcyks. Józefa Habsburga. Koło Morskiego Oka postawiono w 1836 r. drewniany schron, a w 1874 r. uruchomiono pierwsze trwale schronisko Towarzystwa Tatrzańskiego przy MOKu, w 1875 r. na Krzyżnem, w 1876 r. w Roztoce i w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, z kolei w 1925 r. Murowaniec w Tatrach. Lata 1954-56 przyniosły powstanie stanic wodnych wzdłuż Czarnej Hańczy i Krutyni. Pierwszą bacznię PTTK uruchomiono w 1970 r. na Starych Wierchach w Gorcach. Pierwsze letniska kempingowe powstały w 1931 r. w Czarnej Hańczy, Marcinowicach i Żegiestowie.

Zarówno w okresie letnim, jak i jesiennym wszyscy miłośnicy piękna naszego kraju wyruszają licznie na szlaki, również wzrasta wtedy liczba turystów na tatrzańskich szlakach. Podczas rozmów z kolegą taternikiem dowiedziałem się o ciekawych bazach noclegowych. Są to taternicze bazy noclegowe, które w miarę wolnych miejsc są bazami ogólnodostępnymi. Należą do nich: Morskie Oko, Polana Szalasiska (krótko zwana Szalasiska) – za wiatą w prawo skręcić, kolejna baza to Rąbaniska (w drodze z Brzeziny na Halę Gąsienicową), Polana Rogoźniczańska (baza Speleo), znajdująca się pomiędzy Kirami a Doliną Chocholowską.

Powyżej wymieniłem kilka baz tego typu w Tatrach Polskich, zwanych z czeskiego *taboriska*. W ramach wolnych miejsc przyjmują również turystów indywidualnych, cena noclegu wynosi 40 tys. zł od osoby. Należy mieć ze sobą śpiwory, gdyż noclegi są w namiotach na podestach. Baza w Morskim Oku (w skrócie zwanym MOK) w ramach opłaty oferuje możliwość korzystania z gazu, sanitariatów, a ponadto łazienki z ciepłą wodą (!), co nie jest bez znaczenia podczas górskich wędrówek.

W imieniu Janusza H. polecam naszym miłośnikom Tatr opisane powyżej *taboriska*.

Jan Janota

Jakby w 75 rocznicę zapoczątkowania w Białowieży instytucjonalnej ochrony polskiej przyrody w parkach narodowych, w Sudetach Środkowych, konkretnie – na terenie Gór Stołowych, powstał ósmy polski park narodowy na terenach górskich.

Oficjalnie nazwa brzmi nieco inaczej niż w pozostałych przypadkach – Park Na-

stołowych nie sposób wygłosić jednoznacznej opinii, owszem – wypada zgodzić się z Autorem, że rewelacji nie ma. Ale podobnie można zaopiniować Góry Świętokrzyskie czy niektóre zdewastowane dziś partie Karkonoszy. Nie będę wskazywał M. Staffie publikacji, np. Walczaka, Jończy czy Radziejowskiego. On sam wie lepiej, kto może być

zagranicą na rozwój turystyki, a nasze szacowne Towarzystwo sprzedawało schroniska, zaś resort komunikacji będzie podnosił ceny biletów.

W jednym tylko aspekcie podzielam zdanie-pytanie Marka Staffy wydrukowane tutaj w marcu br.: każdemu wolno cieszyć się lub smucić. Natomiast „co zrobić z tym fantem, co go trzymam w ręku” w przypadku zaistnienia parku narodowego w Górach Stołowych przestaje być jedynie odpowiedzią na pytanie, jak w dziecięcej zabawie. Potrzeba, jak sądzę, racjonalnej koncepcji wykorzystania tego dobra, zgodnie z ideą „funkcjonalnego podziału gór”. Bo chyba nie skończy się ta sprawa na powiększeniu paru parkingów przed wejściem z obu stron w labirynt Błędnych Skał, czy ustaleniu wysokości opłat za taką rozrywkę na terenie chronionym.

Mnie martwi raczej to, co mam, niż to, czego nie mam – a nie mam wpływu na pomnożenie zasobów przyrodniczych Gór Stołowych. Przecież łośi tam nie da się sprowadzić, bobry też nie wyżyją, łośosie już dawno same zrezygnowały. Trzeba zadbać, by monokultura świerkowa nie wyłysiała, bo wtedy ukażą się nam... nagie Góry Stołowe, Szczelińce i Błędne Skały. Ale i coś takiego ludzie kupią, jeśli ktoś ich przekona, że warto podziwiać goliznę. Przykładów na to nie ma.

Rzecz w tym, że mamy inną skalę wartości, jesteśmy jakby rozpieszczeni Tatrami, Pieninami, Bieszczadami – a przecież w każdej rodzinie zdarzy się brzydsza siostra, czy mniej przystojny brat. Pośród naszych parków żadnego nie nazywam przezwiskiem – tylko życzliwie, po bratersku, np. Park Narodowy Gór Stołowych też mnie cieszy. Nie robię tego tylko z sentymentu do wspomnień – w 1962 r. po raz pierwszy zobaczyłem „te cuda” i potem wracałem wiele razy. Co prawda, gór uczyłem się wcześniej w Świeradowie-Zdroju, ale przecież nie da się tam już nawet zorganizować korepetycji. Stołowogórskich wrażeń mam sporo, m.in. dzięki „starej gwardii” z Akademickiego Klubu Turystycznego we Wrocławiu i lektur późniejszych setek karteek maszynopisów „Sprawozdań z wycieczek sierpniowych w Sudety” Mieczysława Orłowicza.

Obydwie „lektury w oryginale” – zapisków i w terenie, pozostały mi jako doświadczenie i wspomnienie, co nie oznacza tylko sentymentów do przeszłości. Po prostu uważam, że park narodowy w Górach Stołowych to szansa dla nich, tak jak dla mnie, choć jeszcze bardziej dla tych, którzy dopiero je poznają jutro i pojutrze. I niech magnesem dla nich będzie właśnie ten zaszczepiony tytuł „Park Narodowy Gór Stołowych”, a nie jakieś tam świadczenie usług czy sprzedaż oferty na jazdę zadaszonym autokarem od parkingu do parkingu.

Tomasz Kowalik

Od Redakcji: Zwracamy uwagę czytelników, że pod koniec września oficyna wydawnicza „Sudety” opublikowała nowy przewodnik „Góry Stołowe” Krzysztofa R. Mazurskiego. Właśnie on stanowi klucz do poznania naszego najnowszego parku narodowego.

GÓRY STOŁOWE - ÓSMY GÓRSKI PARK NARODOWY

rodowy Gór Stołowych, zaś powierzchnia istniejącego dotąd Stołowogórskiego Parku Krajobrazowego obejmowała tylko 7,9 tys. ha. Obecnie PNGS to w większości lasy nadleśnictwa „Zdroje”.

Kłopoty z powołaniem parku ciągnęły się ponad dziesięć lat, co nie jest okresem nadmiernie długim. W innych przypadkach spory o zasadność powołania parków trwały czasem dłużej. Sprzeciwy uzdrowisk Duszniki, Polanica czy Kudowa oraz obawy mieszkańców sześciu gmin stołowogórskich i pracowników kamieniołomu w Radkowie – ustały. Park stał się ich zapleczem ekologicznym, stał się silniejszym magnesem dla przybyszów.

Od czerwca 1991 r. gotowy był projekt rozporządzenia Rady Ministrów o utworzeniu tego parku. Opracowanie Instytutu Ochrony Środowiska dyskutowane było wiele razy, także w Wałbrzychu i w gminach – tym razem procedura przyczyniła się do upowszechnienia wielu problemów wśród władz terenowych. Po uwzględnieniu wielu poprawek, m.in. zastrzeżeń leśników o wyłączeniu 1,5 tys. ha w rejonie Polanicy, gruntów wsi Karłów i kamieniołomu, wszystkie jednostki administracji i samorządy odniosły się pozytywnie do pomysłu i oto w połowie września 1993 r. powstał 19 nasz park narodowy*.

Ma 6,2 tys. ha obszaru właściwego i 10,5 ha otuliny. Z jedenastu gospodarstw położonych na terenie parku tylko właściciele czterech chcą nadal je prowadzić. W pierwszej fazie, tj. organizacji parku, pochłonie on 8,7 mld zł z budżetu państwa, a w istocie – z funduszy uzyskanych od wojewodów i przeniesieniu funduszy na koszty dotychczasowego parku krajobrazowego. Dopiero w przyszłym roku mogą się pojawić trudności, ale od czego są lokalni posłowie w Sejmie!

Jak wiemy z łamów „Na Szlaku”, w sprawie tego parku nawet wśród turystów górskich i krajoznawców, a za takiego wypada uznać Marka Staffę, nie było jednomyślności (vide artykuł „Cieszyć się czy smucić?”, marzec 1993, nr 3/45). Powątpiewał on o walorach terenu, ustanowionych formach ochrony rezerwatu, suponował, że wszystko skończy się... za biurkami.

Co do wartości przyrodniczych Gór

dla niego autorytetem. Faktem jest, że decyzja o powołaniu parku zapadła biorąc za podstawę m.in. opinie wielu znanych naukowców. A swoją drogą ciekaw jestem, jak brzmi opinia naszego Towarzystwa w tej sprawie. Czy w ogóle takową przygotowano za pośrednictwem resortu kultury fizycznej?

Myślę – to już pod adresem Redakcji delikatna sugestia, może warto tę opinię opublikować na łamach. Przecież nie co roku mamy taką okazję i tym bardziej, że jest to bodaj przedostatni polski park narodowy w górach. Potem może być tylko Magurski, na który zgodę wyraziła gmina Krempna i nadleśnictwo Żmigród.

Powołanie PN Gór Stołowych doprowadza tereny chronione woj. wałbrzyskiego do 25 proc., co w porównaniu z krosieńskim – 75 proc. czy przemyskim – 50 proc., rewelacją nie jest. Warto jednak wiedzieć, że wałbrzyskie, jako jedno z nielicznych na południu kraju, ma już 10 proc. wód w I klasie czystości. A tereny stołowogórskie to obszary źródłiskowe Bystrzycy i Ścinawki, w zlewisku Nysy Kłodzkiej, i m.in. dlatego warte ochrony, lepszej niż dotąd.

Tereny Gór Stołowych – pisał niedawno Edmund Jońca, *należą do najbardziej atrakcyjnych obszarów turystycznych w Polsce, przez znawców zaliczane są do terenów krajobrazowych I kategorii*. Taka opinia to zasługa rzeźby terenu. Podobne walory widokowe, geologiczne osobliwości, formy krajobrazu można spotkać np. w Harzu czy na północ od Goeteborga w Szwecji.

Nie jestem pewien, czy 510 gatunków roślin, w tym 24 chronione, stosunkowo uboga fauna, znaczne zurbanizowanie otoczenia terenów parku, „osaczenie go” ruchliwymi, choć bardzo malowniczymi drogami (Szosa Stu Zakrętów!) – to dużo czy mało szkodliwych czynników w proporcji do osobliwości przyrodniczych.

Podobno o Górach Stołowych napisało już wszystko. A jeśli tak, to przyszła pora na napisanie jeszcze i tego, że poznali go „starzy wyjadacze”. Natomiast rosną nowe pokolenia takich, którzy pojęcia nie mają (także w Wałbrzychu, Wrocławiu, Kłodzku, Ząbkowicach, Nowej Rudzie i dalej od tych gór!), że istnieje coś takiego, jak Góry Stołowe z ich osobliwościami.

Wiele też wskazuje na to, że takich „analfabetów krajoznawczych” będzie lawinowo przybywało, jeśli resort edukacji będzie patrzył we własny pepek, resort kultury fizycznej zajmował się dotacjami z

*Osiemnastym jest Biebrzański Park Narodowy – obecnie największy, ma około 60 tys. ha.

Zagospodarowanie turystyczne Polski wg UKFiT

Urząd Kultury Fizycznej i Turystyki opracował i wydał w 1992 r. zalecenia rozwoju turystyki w Polsce pod redakcją Konrada Janowskiego. Jest to opracowanie syntetyczne i skrótowe, o czym świadczy fakt, że sześć rozdziałów, podzielonych (poza jednym) na szereg podrozdziałów, zamieszczono na około 30 stronach druku formatu A4. Wzbudziło ono moje zaniepokojenie, że całość tej publikacji przeznaczona jest nie tylko dla odbiorców krajowych, ale, jak sądzę, przede wszystkim dla potencjalnych inwestorów zagranicznych, o czym świadczy edycja w językach angielskim i niemieckim.

Od przeszło trzydziestu lat zajmuję się gospodarką przestrzenną turystyki i mam za sobą wiele prac studialnych i programowych dotyczących zagospodarowania turystycznego kraju i niektórych regionów. Znam wszystkie opracowania z tego zakresu wykonane w Instytucie Turystyki i dziwi mnie niepoimnie (mówiąc najłagodniej), że UKFiT nie skorzystał z najbardziej aktualnych części tych opracowań, a dał wskazania przestrzenne (w podrozdziale 4.5) dotyczące procesów inwestycyjnych w rozwoju infrastruktury turystycznej w Polsce,

które to wskazania zasługują na totalną krytykę.

W podrozdziale 5.1. – „Planowanie przestrzenne” ostatnie zdanie brzmi: *Proponowane strefy rozwoju turystyki w Polsce zostały szczegółowo omówione w części „Zagospodarowanie turystyczne i inwestycje” (4.5).* Owo „szczegółowe” omawianie ogranicza się do podziału Polski na cztery strefy, w których mają być skoncentrowane inwestycje infrastruktury turystycznej.

Strefa I obejmuje województwa graniczące z Czechami, od woj. katowickiego (bez jego północno-wschodniej części, natomiast z południową częścią woj. wrocławskiego i całym woj. legnickim), wszystkie województwa graniczące z Niemcami: województwa nadbałtyckie (z północnym skrawkiem woj. bydgoskiego) oraz woj. olsztyńskie i część zachodnią (od Elku) woj. suwalskiego. Strefę tę określono jako obszar penetracji turystów z rynku niemieckiego.

Strefa II obejmuje wszystkie województwa na granicy wschodniej; z częścią woj. królewskiego i suwalskiego. Określono je jako obszary „handlowego” rynku turystycznego ze Wschodu.

Strefa III obejmuje: województwa

olsztyńskie, suwalskie, białostockie, łomżyńskie i ostrołęckie (na załączonej mapie włączono do tego obszaru również woj. ciechanowskie). Strefę tę określono jako najbardziej atrakcyjną dla turystów zagranicznych.

Strefa IV obejmuje aglomeracje miejskie, ukierunkowane na dalszy rozwój hotelarstwa.

Oto całe uszczegółowienie przestrzenne rozwoju turystyki w Polsce! Jest rzeczą oczywistą, że w trzech pierwszych z wymienionych stref występują na części terenów walory turystyczne, wypoczynkowe lub / i krajoznawcze. Walory takie występują również w pominiętej części obszaru Polski. Wystarczy wymienić takie województwa, jak piłskie, bydgoskie i toruńskie, poznańskie, część leszczyńskiego, kieleckie. A polska część Karpat i Podkarpacia – nie mają walorów turystycznych?!

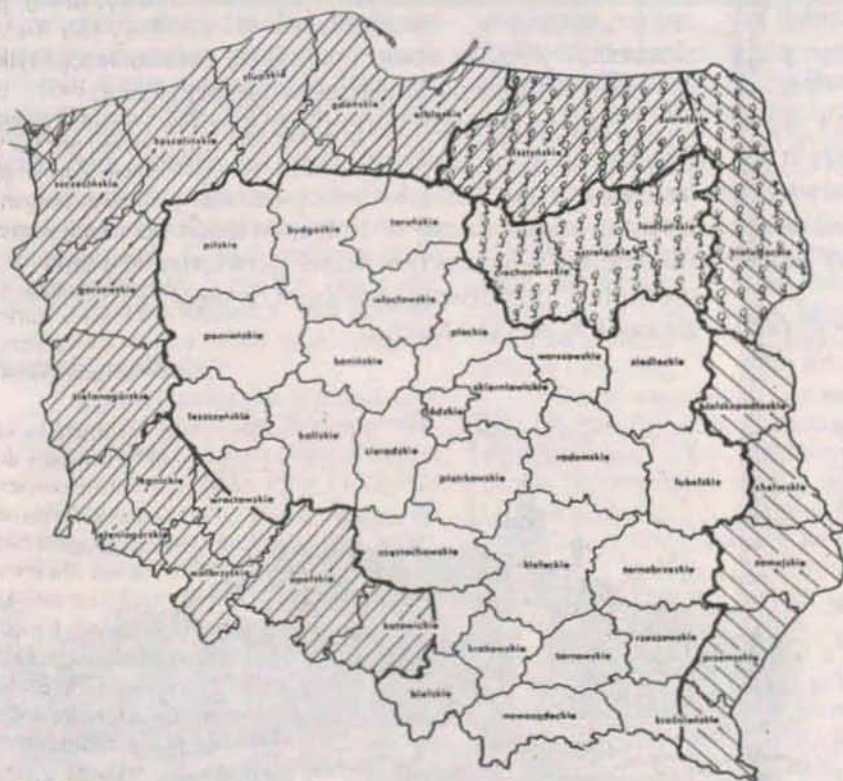
Warto też zapytać: jakie to walory turystyczne, zwłaszcza dla turystyki zagranicznej, mają obszary kłęski ekologicznej – województwa katowickie i legnickie?! I jakie – niewątpliwie czystsze ekologicznie, województwa ciechanowskie, ostrołęckie i łomżyńskie (zaliczone do najbardziej atrakcyjnych dla turystyki zagranicznej)?

Pytania takie można by mnożyć, ale przecież nie o to chodzi. W opracowaniu firmowanym przez Urząd Kultury Fizycznej i Turystyki nie można się godzić na absurdalne uproszczenia. Uwzględniając syntetyczny charakter całości opracowania należałoby oczekiwać, że układ przestrzenny zagospodarowania turystycznego Polski pokazany zostanie przynajmniej na mapie ilustrującej rozmieszczenie obszarów i ważniejszych miejscowości o funkcjach turystycznych, z określeniem podstawowej specyfiki tych funkcji oraz charakteru działań inwestycyjnych (np. rozwój funkcji turystycznych na znacznej części naszego wybrzeża musi być poprzedzony uporządkowaniem gospodarki wodno-ściekowej i kwestii odpadów komunalnych). Opracowanie takiej mapy wraz z krótkim opisem nie jest trudne i jako aneks do omawianej publikacji mogłoby być wykonane na zlecenie UKFiT przez Instytut Turystyki.

Stanisław Wawrzyniak

Od Redakcji: Autor jest członkiem Państwowej Rady Gospodarki Przestrzennej i rzeczoznawcą Towarzystwa Urbanistów Polskich w zakresie kształtowania struktur przestrzennych. Był – od 1963 r., współorganizatorem i kierownikiem Pracowni, a następnie Zakładu Zagospodarowania Turystycznego przekształconego w 1972 r. w Instytut Turystyki, w którym pracował od 1991 r. Od 1971 r. wykładowca w katedrze Ekonomiki i Organizacji Turystyki AE we Wrocławiu, następnie do 1991 r. kierownik Zakładu Gospodarki Regionalnej (obecnie Katedra Gospodarki Przestrzennej) Wydziału Gospodarki Regionalnej i Turystyki w Jeleniej Górze wrocławskiej Akademii Ekonomicznej.

UKŁAD PRZESTRZENNY ZAGOSPODAROWANIA TURYSTYCZNEGO wg UKFiT





Zamkowe opowieści (21)

Już na dobre ziemia śląska wkroczyła w nowe, osiemnaste stulecie. Mieszkańcy niedużego górnośląskiego miasteczka Krapkowice, usytuowanego przy ujściu Osobłogi do Odry, zabudowanego – poza kościołem i pańskim zamkiem – niemal zupełnie drewnianymi, parterowymi domami, aż do wielkiego pożaru w 1722 roku wiedli bogobojny, spokojny żywot skromnych, prywatnych feudalnych mieszczan.

Onegdaj jeden z miejscowych strażników zam-

potem otworzyły się wejściowe drzwi i do izby weszły kolejno cztery czarne postacie. Pierwsza trzymała w ręku siekiere, druga gómiczy oskard, dwie pozostałe wlokły wyładowany duży worek, a gdy rzucono go na podłogę, zatrzęsała się cała chałupina.

Przybyli zapalili wnet stojącą w kącie izby latarnię i... dopiero teraz dostrzegli, siedzących za stołem mężczyzn. Ci zaś zobaczywszy uzbrojonych, czarnych, bardzo dziwnie wyglądających osobników, nieco się

Czterech diablów z Krapkowic

kowych zauważył, że do opuszczonego od dość dawna domu przy ulicy Opolskiej od czasu do czasu, późną nocą, przybywało chyłkiem czterech, z zachodnia odzianych, czarnoskórych osobników – może ludzi, a może diablów? Za każdym razem taszczyli oni ze sobą jakiś ciężki, sporych rozmiarów worek. Strażnik podejrzewał, że w tajemniczym mieszkunajprawdopodobniej znajdowało się złoto i inne kosztowności..

Siedząc pewnego razu w niedzielne popołudnie w przyrynkowej gospodzie i racząc się z nudów chmielowym trunkiem z pokaźnego kufła, pański sługa wtajemniczył w swoje spostrzeżenia kilku krapkowickich mieszczan. A gdy na dworze zaczęło się nieco ściemniać, biesiadujący za stołem „spiskowcy” mieli już gotowy, podstępny plan działania, dopili więc piątą kolejkę piwa, uregulowali należną zapłatę i opuścili gospodę. Wyszedszy, mężczyźni skierowali się w stronę ulicy Opolskiej. Po drodze przy pierwszym napotkanym płocie pozbyli się sporych nadwyżek chmielowego płynu, po czym przeprowadzili wizję lokalną terenu swej przyszłej akcji i uścisnąwszy dłonie rozeszli się po domach.

Minęło zaledwie kilka dni, gdy „spiskowcy” późnym wieczorem, jeden po drugim, w największej skrytości, przedostali się do tajemniczej, nie zamieszkannej chałupiny. Tutaj, na wszelki wypadek, narysowawszy święconą kredą na podłodze dookoła krzesel i stołu wyraźny, gruby krąg, usiedli za stołem i modląc się z cicha, z pewnym wewnętrznym niepokojem oczekiwali na przybycie ludzi (lub diablów) z pełnym workiem kosztowności. Jak wynikało bowiem ze skrupulatnych wyliczeń zamkowego strażnika „piekielnicy” mieli przyjść właśnie tej sobotnio-niedzielnej nocy. Krapkowiczanie postanowili zaś na nich napaść i odebrać im skarb.

No i stało się.

Tuż zaraz po północy na ulicy rozległy się przytłumione, ale wyraźnie słyszalne kroki,

speszyl i nie zdobyli się na natychmiastowy atak. I to był poważny błąd. Przybysze skupili się tymczasem przy drzwiach i półszeptem poczęli się naradzać, co robić? Wyglądało, że dzielą się rolami w gotującej się śmiertelnej walce. Najroślejszy z nich pokazał na jednego z krapkowiczian i wyszeptał:

– Tego w czerwonej kurtce?

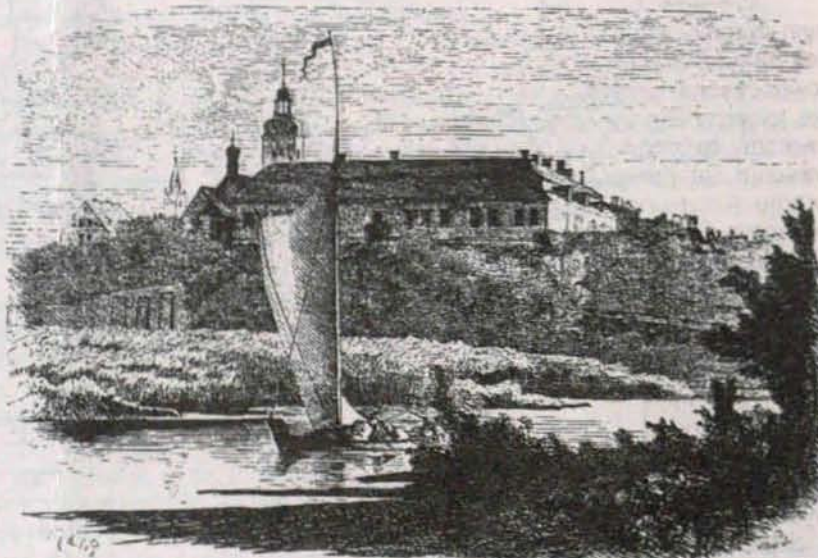
Wskazany mężczyzna, czując zbliżający się koniec, nie wytrzymał nowowo i śmiertelnie przerażony zawył na cały głos:

– Jezus, Maria!

I wówczas stała się rzecz niespodziewana. Przybysze usłyszawszy te święte imiona, porwali z podłogi swoje „rekwizyty” – siekiere, oskard i wór z tajemnym skarbem, wybiegli z domu i puścili się pędem wzdłuż ulicy, po czym przepadli gdzieś w ciemnościach.

Były to bowiem autentyczne cztery diabły, które zwykle po wielodniowej, ciężkiej, wprost piekielnej harówce w górnośląskich kopalniach przybywali do opuszczonego domu w Krapkowicach na zasłużony, niedzielny odpoczynek (dziś powiedzielibyśmy: na weekend), przynosząc ze sobą wór węgla kamiennego na opał w piecu i kuchni.

Julian Janczak



Krapkowice

Przebieg szlaku	Oddział znakujący	Czas przejścia (godz./min.)	Pkt do GOT	Ilość km	Suma różnicy wznies. (m)	Turystyka narciarska
Szlaki turystyczne w kolorze zielonym:						
Jablonki – Walter – Berdo	Lesko	1.30 – 1.15	7/3	4,0	360	
Lesko – Czulinia – Myczków – Wołkowyja	"	7.15 – 7.30	31/27	25,0	790	
Wołkowyja – Terka – Krysowa	"	6.30 – 6.00	29/24	20,3	1010	
Magura Stuposiańska – Przysłop – Polonina Caryńska – Przeł. Wierch Wyżniański – Mała Rawka	Ustrzyki D.	4.45 – 4.15	20/17	11,0	1505	
Szlaki turystyczne w kolorze żółtym:						
Przeł. Orłowicza – Wetlina – Rabia Skala	Lesko	5.00 – 5.00	19/18	15,0	975	
Bereżki – Przełęcz Przysłop	Ustrzyki D.	1.00 – 0.45	5/3	3,0	215	N
Przeł. pod Tarnicą – Tarnica	"	0.20 – 0.15	1/1	1,0	71	
Muczne Hotel – Bukowe Berdo	"	1.30 – 1.00	8/4	4,0	461	
Szlaki turystyczne w kolorze czarnym:						
Przełęcz 920 m – Jablonki – Łopiennik	Lesko	4.45 – 4.30	19/19	13,7	890	
Łopiennik – Dolżyca – Falowa – Jaworzec	"	5.15 – 6.00	16/21	13,0	1510	
Jaworzec – Krysowa – Przełęcz Orłowicza	"	3.00 – 2.30	12/7	8,3	455	

XIII. POGÓRZE KARPACKIE

Zasięg terytorialny: Opisano jedynie granicę południową oddzielającą Pogórze od Karpat – od zachodu ku wschodowi: Cieszyń granica z Czechami – Ogrodzona – Skoczów – Grodziec – Bielsko-Biała – Kęty – Andrychów – Wadowice – Kałwaria Zebrzydowska – Izdebnik – Sulkowice – Rudnik – Myślenice – Brzączowice – Dobczyce – Czasław – Raciechowice – Kawec – Grabie – Tarnawa – Ujazd – Łąka Górna – Rajbrot – Wojakowa – Porąbka Iwkowska – Michalczowa – Łososiowa Dolna – Nowy Sącz – Grybów – Szymbark – Gorlice – Biecz – Jasło – Moderówka – Krosno – Miejsce Piastowe – Rymanów – Zarszyn – Sanok – Lesko – Olszanica – Ustrzyki Dolne – Krościenko granica z Ukrainą.

„NA SZLAKU” zauważone przez „GAZETĘ GÓRSKĄ”

Pomimo bardzo dużej konkurencji na rynku księgarskim i prasowym – stale powstają nowe periodyki. W maju br. Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie, dosłownie w przededniu przejęcia oficjalnej merytorycznej i ekonomicznej opieki nad polską turystyką górską, zaprezentował się w nowej własnej gazecie. Chwytliwe hasło przewodnie „wszystko o górach, wszystko dla gór” zaczęło jednak z całą konsekwencją wdrażać o wiele wcześniej, bo już od początku 1992 r.

We wspomnianym inauguracyjnym majowym numerze Zbigniew Kresak na tytułowej szpalcie przypomina, a równocześnie przybliża idee i motywacje, jakie przez prawie ćwierć wieku przyświecały twórcom, a następnie wykonawcom całej inwestycji i zarazem programu – z trudnym do przecenienia wkładem Edwarda Moskaly (obecnie zresztą Redaktora Naczelnego „Gazety Górskiej”).

Z tematów programowo-historycznych Jadwiga Polańska kreśli kalendarium pracy Ośrodka w pierwszym roku jego działalności. „Gazeta” stara się angażować zarówno w merytoryczne problemy górskiej turystyki, o czym świadczą teksty Edwarda Moskaly o Krajowych Naradach Aktywu Górskiego czy Jacka Ormickiego materiał o bieżących problemach GOT, jak też nawiązywać do

aktualiiów o znaczeniu ogólnym dla PTTK. Mam tu na myśli informację o XIII Krajowym Zjeździe PTTK w Poznaniu.

„Gazeta Górską” włączyła się od początku w nurt bieżących tematów bazy górskiej PTTK (tekst Jana Kazimierczyka o baczności w Bartnem). Na jej łamach znajdzie czytelnik najświeższe informacje o turystyce w górskich parkach narodowych, a także materiały o pracy agend i organizacji, które swoją siedzibę znalazły przy ul. Jagiellońskiej 6/6a w Krakowie.

Drugi, wrześniowy numer „Gazety”, to znaczny postęp zarówno pod względem graficznym, treściowym i układu, jak i koncepcji. Niezwykle oryginalna tytułowa winieta, urozmaicone kroje czcionek, a równocześnie tematyczna różnorodność zadecydują niewątpliwie o tym, że periodyk ten szybko zyska uznanie w środowisku górskim. Z konsekwencją rozwijany jest dział schronisk górskich, gdzie tym razem przeczytać można o Krupowej Hali, Leskowcu, Poloninie Wetlińskiej czy Domu Wycieczkowym PTTK „Hanka” w Zawoi, a także zapoznać się z dyskusyjnym tekstem Zygmunta Jasiewicza o reformach (czy manipulacjach?) w zarządzaniu schroniskami PTTK. Zostały już chyba na stałe wprowadzone rubryki informacyjne o nowościach wydawniczych „Na półce z górkami książkami”, jak też najbardziej

reprezentatywna, gdyż świadcząca o zainteresowaniu czytelników, czyli „Listy, sprostowania, polemiki”.

Nie zapomniano o ostatniej (z maja 1993 r.) Krajowej Naradzie Aktywu Górskiego, a także o przypadającej właśnie 88 rocznicy urodzin nestora turystyki polskiej – Władysława Krygowskiego.

Edward Moskala i Jacek Ormicki patrzą w przyszłe zadania Podkomlisy Kultury i Historii Turystyki Górskiej KTG ZG PTTK dając informacje o nowych ośrodkach muzealnych w Zawoi Markowej i pod Baranią Górą.

Wreszcie jest i o naszym „Na Szlaku”. „Gazeta Górską” wprowadziła bowiem od września 1993 r. stałą rubrykę o istotnych dla górskiej turystyki wydawnictwach programowych i regionalnych.

Co najważniejsze – periodyk utrzymuje się wyłącznie z reklam schronisk i przedsiębiorstw turystycznych. Jest więc **ro z d a w a n y**, a nie sprzedawany (nakład 2000-3000 egz.). Opracowany w COTG PTTK rozdziałnik objął w pierwszym rzędzie oddziały i kluby górskie PTTK, schroniska w górach oraz kadre – szczególnie zaś tę odwiedzającą nasze ogólnopolskie centrum turystyki.

Dla zainteresowanych indywidualnym otrzymaniem „Gazety Górskiej” – podaję adres jej redakcji: Oficyna Wydawnicza „Wierchy” – Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK, ul. Jagiellońska 6/6a, 31-010 Kraków, tel. 22-74-31, 22-28-40.

Andrzej Matuszczyk

Mapy turystyczne, z których można korzystać podczas wędrówek po Pogórzu Karpackim: „Beskid Niski i Pogórze” 1:125 000; „Pogórze Dynowskie i Przemyskie” 1:150 000 (nie wznawiana od 1973); „Okolice Rzeszowa” 1:300 000 (nie wznawiana od 1969); „Okolice Przemysła” 1:150 000 (wyd. Oddz. PTTK Międzyuczelnianego w Warszawie); „Okolice Grybowa” 1:75 000 (nie wznawiana od 1968); „Ziemia Cieszyńska” 1:60 000; „Beskid Makowski (Beskid Średni)” 1:75 000; „Beskid Mały” 1:75 000; „Beskid Wyspowy” 1:125 000.

POGÓRZE WIELICKIE

Przebieg szlaku --	Oddział znakujący	Czas przejścia (godz./min.)	Pkt do GOT	Ilość km	Suma różnicy wznies. (m)	Turystyka narciarska
Szlaki turystyczne w kolorze niebieskim:						
Brzeźnica – Draboż – Przytkowice – Kalwaria Lanckorona	Wadowice	4.30 – 4.30	20/19	20,3	430	N
Bochnia – Nowy Wiśnicz – Paprotna – Rajbrot	Bochnia	5.30 – 5.30	25/23	22,0	580	N
Szlaki turystyczne w kolorze zielonym:						
Rajbrot – Spilówka – Mahulec – Czchów	Tarnów	7.00 – 7.00	22/21	20,0	1090	N

POGÓRZE CIĘŻKOWICKIE

Szlaki turystyczne w kolorze czerwonym:						
Nowy Sącz – Kobylnica – Bartkowa	Nowy Sącz	7.00 – 7.00	20/20	18,0	590	N
Szlaki turystyczne w kolorze niebieskim:						
Nowy Sącz – Muzeń – Jodłowa – Ptaszkowa	Nowy Sącz	7.00 – 7.00	24/22	21,1	1085	N
Rożnów – Bartkowa	"	2.00 – 2.00	8/8	7,2	170	
Rożnów – Znamierowice – Just	"	3.15 – 2.45	10/8	7,5	490	N
Dębno – Jaworsko – Melsztyn	Tarnów	6.15 – 6.15	21/20	20,0	420	

Fotografowali Tatry (4)

SAMOTNY ARTYSTA

Wśród aktywnych fotografów-taterników pojawił się na początku XX w. człowiek, który spojrzał na góry inaczej. Był to Mieczysław Karłowicz.

Tatrzańskie wierchy i granie fascynowały Karłowicza jako człowieka i jako artystę. Szukał pośród nich przeżyć i wrażeń estetycznych, samotności i wytchnienia od zgiełku świata; związał się z nimi na całe życie i śmierć...

Karłowicza, obytego w świecie kompozytora, cechuje swoista wrażliwość. Wchłania szeroką gamę nastrojów przyrody latem i zimą. Z łatwością pokonuje samotnie trudne przejścia. Obce są mu tendencje wyuczynowe.

Fotografia staje się dla Karłowicza częścią osobowości. Pozwala zatrzymać czas i utrwalić osobiste doznania, dalekie raczej od odwzorowań problemów taternickich. Fotografuje, niestety, praktycznie biorąc tylko trzy lata: 1906-1908.

Artystę frapują jakby portrety gór – masywy skalne, układ grani, kształty szczytów, czasami są one wśród mgieł. Mniej uwagi poświęca Karłowicz szerokiej przestrzeni. Trafia się jednak perspektywa z niską, w oddali koronkami grzbietów, jak np. na zdjęciu z Durnego w stronę Gerlacha.

Krajobrazy tatrzańskie Karłowicza nie przytłaczają. Są spokojne i ciche, podobnie jak ich autor.

NA SZLAKU 11/53 STR. 14



Widok z Durnego w stronę Gerlacha – nad Doliną Pięciu Stawów Spiskich

Foto: Mieczysław Karłowicz 1906 r.

Charakterystyczne są pierwsze plany. Bywają to formy terenu: skały, czasem plecak, lina lub ciupaga. Ekspozowane bywają efekty płynącej wody, spękanej skały, okiści śnieżnej, spękanej kry na stawie. Do wyjątkowych zdjęć należy odbicie własnej postaci na mgle w podwójnym kole tęczowym utrwalone na grzbiecie Czuły Goryczkowej (zachowane w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem – niestety, wyblakłe).

Jak każdy artysta, Karłowicz pragnie przekazać owo trudno uchwytnie piękno osobiste i zabarwienie uczuciowe fotografii. Świadomy jest niedoskonałości technicznych zdjęć. Długie godziny spędza w swoim laboratorium opracowując odbitki w powiększeniach. Wykonuje je z reguły w układzie pionowym celem uzyskania większej dynamiki gór. Ceni też duże kamery i formaty klisz i krytycznie się wyraża o „nowościach kieszonkowych do pstrykania”.

W zbiorach Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem zachowały się cenne pamiątki w postaci dwóch aparatów Karłowicza. Jeden z nich jest wyrobu krajowego z obiektywem „American Star”, na klisze 9x12 cm. Drugi, większy, z podwójnym wyściąganiem miecha, to produkcja Goertza.

Obiektów ma światło 4,6 i ogniskową 1:8,5. Klisze formatu 12x16,5. Ten właśnie aparat artysta miał ze sobą podczas ostatniej wędrowki 8 lutego 1909 r. i nim wykonał dwa ostatnie zdjęcia (Giewont z Bocznian oraz oblodzone smreki na Karczysku), które znalazł w lawinie i wywołał Stanisław Barabasz.

Nie wiadomo, jak wiele zdjęć wykonał Karłowicz. Znaczna liczba negatywów i odbitek została zniszczona w Warszawie w 1944 r. To, co pozostało, stanowi dostateczny materiał do oceny osiągnięć artysty, a były one bez precedensu – jak na krótki, trzyletni okres działania. Zachowało się 98 oryginalnych klisz (96 w Centralnej Bibliotece Górskiej PTTK w Krakowie i 2 w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem, i co najmniej 84 odbitki stykowe umieszczone w dwóch albumach, z własnoręcznymi podpisami Karłowicza (w CBG PTTK). Wiele odbitek znajduje się w rękach prywatnych i nieco w Muzeum Tatrzańskim w archiwum korespondencji. Piękne reprodukcje, m.in. z niezachowanych dziś zdjęć, można oglądać wertując „Pamiętniki Towarzystwa Tatrzańskiego”, „Taternika”, „Wierchy” i wspaniałą książkę *Mieczysław Karłowicz w Tatrach* (trzy wydania) i parę innych.

Adam Czarnowski



Głaz – pomnik na miejscu śmierci Karłowicza w 1909 r. pod Małym Kościelcem. Foto: Autor nieznany

Prezydium Zarządu Głównego PTTK Uchwałą nr 179/92 zatwierdziło nowy „Regulamin Odznaki Krajoznawczej”, który wszedł w życie z dniem 26 lutego 1993 r.

Zmodyfikowane warunki zdobywania odznaki mają przyczynić się do zwiedzania całego kraju, wymuszając szerszy obszar wędrowki w zależności od wyższego stopnia zdobytej odznaki.

Regulamin przewiduje następujące rodzaje i stopnie odznaki:

- Regionalna Odznaka Krajoznawcza (ROK) w stopniach brązowych i srebrnym.

- Odznaka Krajoznawcza Polski (OKP) w stopniach brązowym, srebrnym, złotym i złotym z szafirem.

Odznaki zdobywa się w kolejności stopni, w ustalonych terminach i po zwiedzeniu odpowiedniej liczby obiektów krajoznawczych. Można je zdobywać po ukończeniu dziesiątego roku życia.

O ile Regionalna Odznaka Krajo-

NOWE ODZNAKI KRAJOZNAWCZE

znawcza pozwala na dowolny dobór zwiedzanych obiektów na określonym terenie, to Odznaka Krajoznawcza Polski ogranicza pole manewru wyłącznie do kanonu Krajoznawczego Polski, który dzieli Polskę na 15 regionów krajoznawczych, wyznacza 10 miast do obowiązkowego zwiedzania (łącznie z głównymi obiektami w tych miastach) oraz podaje szczegółowy wykaz głównych obiektów krajoznawczych we wszystkich regionach – tylko te wyznaczone miejsca i obiekty pozwalają na zdobycie odznaki. Komisja Krajoznawcza ZG PTTK wychodzi z założenia, że przy okazji zwiedzania tych obiektów turysta zobaczy wiele innych ciekawostek krajoznawczych, ale aby zdobyć odznakę musi odwiedzić inne miejscowości i w ten sposób poznać więcej miast i regionów Polski.

Bliższe informacje o warunkach zdobywania odznak krajoznawczych oraz szczegółowe wykazy obiektów (Kanon Krajoznawczy Polski) zawiera regulamin dostępny we wszystkich punktach weryfikacji.

Głównym miejscem sprzedaży regulaminów i odznak krajoznawczych jest Regionalna Pracownia Krajoznawcza:

61-773 Poznań, Stary Rynek 94 (Dom Turysty PTTK).

W przypadku wysyłania kronik do weryfikacji pocztą, należy załączyć zaadresowaną kopertę i znaczki pocztowe na zwrotną wysyłkę.

Apelujemy do wszystkich turystów – krajoznawców, jak i innych osób, które nimi pragną zostać, o masowe uczestnictwo w zdobywaniu odznak krajoznawczych.

Poznaj swój kraj, abyś umiał nim gospodarzyć.

Henryk Stopikowski

Na Szlaku 11/53 str. 15

KARTKA Z LIPNICY WIELKIEJ

Zaproszenie na „Święto Pasterskie” (4.07.) od wójta gminy Lipnica Wielkiej miało być tym magnesem przyciągającym mnie na Orawę. I tak się stało. Przyjechałem z ekipą Telewizji Katowickiej już w piątek (2.07.). Pogoda zapowiadała się nareszcie słoneczna, a red. Krzysztof Smereka, zauroczony ostatnio krajobrazem orawskim, chciał uzupełnić rejestrację widoków orawskich, tym razem o letnie sekwencje.

I faktycznie miał rację. Kopy suszących się traw na ostrowkach, ustawionych symetrycznie i asymetrycznie na łagodnych stokach orawskich działów, przyciągały wzrok swoją pięknnością w krajobrazie. Sianokosy były w pełni.

Lipnica Wielka znów jakby się zmieniała. Więcej kolorowych sztyldów i nowych domów, budowanych z rozmachem, w budowie kilka mostów i wyasfaltowano drogę aż pod samo Schronisko Babiogórskie... z 300-metrową przerwą „drogi niczyjej” (?).

Schronisko Babiogórskie w pełni sezonu, a miejsc wolnych jednak sporo. Jeszcze rok temu wisi tu sztyld Spółdzielni „Miranda” z Poznania, dzierzawiającej wówczas obiekt. W pokojach czysto i przytulnie, czyste sanitariaty i dobra kuchnia, a panie obsługujące nie zrażają się przesuwaniem godzin posiłków dostosowując się do czasów wędrówek po okolicznych trasach górskich. Zebrane po drodze grzyby zostaną przez panie usmażone i podane do posiłku! Czy można więcej żądać od personelu kuchennego?

Podczas naszego pobytu strażacy oczyścili mały basen i zaraz napełnili go wodą z górskiego potoku. Czysta, krystaliczna woda, ale jak zimna (!), od razu przyciągnęła nielicznych letników.

Pokoje w schronisku są dwu-, trzy- i czteroosobowe, w sezonie po 60 000 zł za miejsce, poza sezonem po 40 000 zł, kilka apartamentów z własną łazienką i sanitariatem po 80 000 zł, a poza sezonem 60 000 zł. Wyżywienie całodzienne po 70 000 zł. Obiektem tym kieruje poznaniak Zbigniew Kornowski.

Wójt Franciszek Adamczyk planuje zorganizowanie pola biwakowego na sąsiadującej ze schroniskiem polanie, z możliwością korzystania z kuchni, stołówki i sanitariatów schroniskowych. Pomysł dobry i schronisko na tym też skorzysta.

W samej Lipnicy Wielkiej stosunek do turystów i letników też powoli się zmienia na korzyść. Wynajmując stojące, puste pokoje zyskuje się dodatkowy zarobek. Odwiedzamy z kamerą domy Eugeniusza Pniaczka (nr 636) i Franciszka Żurka (nr 556a), aby sprawdzić kwatery, które wójt poleca, i nie jesteśmy rozczarowani.

Młodzież też ma swoją kawiarnię: Cafe-Disco „U Romka”, gdzie w dyskotekowym wystroju wnętrza, niczym nie odbiegającym od tego, co widzimy w miastach, można bawić się do późnych godzin nocnych.

Nie zmienimy tego trendu, nie zamknijemy ludzi w skansenowskich wioskach, tylko dlatego, że nam z miasta się tak podoba. Znikają piękne dla oka drewniane chałupy, na ich miejscu powstają, często cudaczne, murowane wille. Świat jest już w

domach za pośrednictwem telewizji satelitarnej, propaguje się inny styl życia. Popatrzmy na to inaczej. Dlatego z tak wielkim uznaniem obserwuję działalność miejscowych zespołów regionalnych i z radością obserwuję ich występy. Tak jest też w Lipnicy Wielkiej. Do istotniejszych zespołów doszedł nawet nowy, dziecięcy, prowadzony przez Elżbietę Kucek, który podczas „Święta Pasterskiego” zaprezentował się doskonale.

Gmina lipnicka stawia coraz bardziej na turystykę. W samym Urzędzie Gminnym, jak wójt zapewniał, powstanie niedługo coś na wzór biura zakwaterowań, biura turystycznego. Już obecnie jedna z referentek zajmuje się informowaniem przyjeżdżających lub telefonujących turystów.

Pojechaliśmy też do Kiczor i na przełaj, wśród pięknych łąk kośnych i zagajników, wyszliśmy na Polany. Na jednej z nich – Bartoszowej, filmowaliśmy przyrodę i widoki. Jakże widoki! Tu Babia Góra jest jak Matterhorn, jej ciemna, potężna sylwetka, przyniata i korzy patrzących. Wiatr w porwach tarmosił drzewami, krzewami, kładł trawy i zboża. Przez zagony przesłakiwały sarny, wysoko z góry obserwował nas krążący jastrząb. Mocno fioletowe kwiaty wierzbowki kiprzyły, rosnące w kępach, przyciągały nasz wzrok. Stara dzwonnica z loretańskim dzwonczkiem zarosła, jakby nikomu już nie była potrzebna.

W Lipnicy rejestrujemy jeszcze dwie stare chałupy, jedną w Kudziach (nr 517), drugą w Skoczyskach (nr 599) zamieszkaną przez Emila Karlaka. Również kościół św. Łukasza, wewnątrz i na zewnątrz, ze wszystkimi pięknymi figurami, grobem i tablicą pamiątkową Piotra Borowego.

Samo „Święto Pasterskie” to nie tylko występy sporej ilości zespołów, to także miejsce spotkań Orawiaków i gości, przybyłych często z odległych stron. To okazja na rozmowy z dawną niewidzianą osobą, to wymiana wiadomości rodzinnych, zawodowych, towarzyskich, to wreszcie miejsce zabawy, prawdziwy ludowy festyn.

„Święto Pasterskie” odbywa się co-

rocznie w pierwszą niedzielę lipca. Tegoroczne otworzył gospodarz – wójt Franciszek Adamczyk, władze reprezentował wojewoda nowosądecki Józef Jungiewicz, a wicepremiera Pawła Łączkowskiego – specjalny wysłannik prof. Mikołajczak. Przyjechali też Spiszacy z wójtem gminy Łąpsze Niżne Wendelinem Haberem i Julianem Kowalczykiem ze Związku Polskiego Spisza na czele. Byli licznie obecni członkowie Towarzystwa Przyjaciół Orawy z prezesem ks. Władysławem Pilarczykiem, Tadeuszem M. Trajdosiem i Leonem Rydlem na czele. Było tylu innych znakomitych gości, że trudno wszystkich tylko wspomnieć.

Występy konkursowe otworzyła muzyka Ludwika Młynarczyka, a potem już potoczyło się. Występowali na przemian instrumentalni i śpiewacy, i zespoły, i muzyki. Tak naprawdę, poza oczywiście jury, każdemu było już obojętne, kto występuje, byle grano i śpiewano, bawiono się dobrze.

Pewnie każdy z tego świata zapamięta i wywiezie jakiś sobie tylko bliski szczegół, bo całość ogarnąć się nie dało. Mnie w pamięci pozostanie najmłodszy instrumentalista, sześciolatek wnuk Ludwika Młynarczyka – Dariusz Mikusiak, który najpierw musiał w sobie przełamać pierwszą treść i łyżę, a dopiero potem zagrać na równie małych, jak on, skrzypcach. I drugi moment, gdy muzyka „Ujka” Szczerby z Piekielnika zagrała już bez niego, i było to widoczne, i... słyszalne.

Tegoroczne „Święto Pasterskie” rozrosło się do dużej imprezy. Czy przypadkiem nie przeszkadza to organizatorom? Za dużo było dłużyzn i jeszcze mniej dyscypliny. Ale może tak powinno być, bo potrzeba nam więcej chwil bez zmartwień, więcej czasu na spotkania i rozmowy towarzyskie, a tego na tym świecie było w nadmiarze.

Bardzo serdecznie i naturalnie zabrzmiała wypowiedź Franciszka Adamczyka w udzielonym wywiadzie dla Telewizji Katowice, w której zapraszał wszystkich chętnych na następne święto, obiecując, że każdemu chciałby uściśnąć rękę osobiście.

Ryszard M. Remiszewski



Wjeżdżając do Skarżyska-Kamiennej od strony Radomia można zauważyć drogowskaz wskazujący w lewo dojazd do Sanktuarium Maryjnego. Gdybyśmy skręcili w lewo, to zobaczylibyśmy wierną kopię Ostrej Bramy w Wilnie, a w niej kopię cudownego obrazu Matki Boskiej. Jest to najmlodsze sanktuarium Gór Świętokrzyskich.

do dziś. Zakład jest udostępniony do zwiedzania.

Kończąc tę literacko-techniczną dygresję, wracamy do sanktuariów świętokrzyskich. Najstarszy z nich to Święty Krzyż, gdzie przedmiotem czci wiernych jest umieszczony w Kaplicy Oleśnickich niewielki fragment drewna Krzyża Świętego.

nico zaskakują wobec powszechnej opinii o absolutnym pierwszeństwie kultu cudownego obrazu z Jasnej Góry. Obiektem kultu są zwykle obrazy. Jedynie w dziewięciu ośrodkach maryjnych czczona jest drewniana lub kamienna figura MB. Spośród tych 75 ośrodków maryjnych, siedem obrazów i figur doczekało się koronacji, czyli najwyższej

ŚWIĘTOKRZYSKIE SANKTUARIA MARYJNE

kich. Robi duże wrażenie, a na repatriantach z Wileńszczyzny wrażenie wprost wstrząsające. Zwłaszcza teraz, gdy sytuacja Polaków na Litwie pogorszyła się, gdy nasilają się represje – stojąc w Skarżysku „Świętokrzyska Ostra Brama” staje się jakimś symbolem dla „Wilniuków”.

Sanktuarium to powstało z inicjatywy bpa Edwarda Materskiego i jest dziełem parafian i dwóch młodych księży – Jerzego Karbownika i Dariusza Stańczyka. Pierwsze uroczystości z udziałem księży polonijnych ze Stanów Zjednoczonych odbyły się tu w 1990 r. Obecnie codziennie o godz. 21 odmawiany jest specjalny Apel do MB Wileńskiej.

Nowe sanktuarium powstaje również w Kałkowie, niedaleko Starachowic (gm. Pawłów). Nosi ono nazwę Sanktuarium MB Świętokrzyskiej lub Sanktuarium Bolesnej Królowej Polski. Wznoszone jest jako „wotum wdzięczności narodu polskiego za łaskę objawień i za odzyskanie po stu dwudziestu latach niewoli wolności i przetrwanie narodu w czasie strasznej wojny 1939-1945”. Tu również znajduje się kopia cudownego obrazu MB, ale nie z Wilna, tylko z Lichenia koło Konina. Tu również przybywa coraz więcej pielgrzymów.

Jako ciekawostkę dla krajoznawców mogę podać, że niedaleko Kałkowa, w Dołach Biskupich, znajduje się nad Świsliną czynna, zabytkowa fabryka tektury. Ten niewielki zakład, wzniesiony w 1912 r., posiada maszyny i urządzenia sprzed I wojny światowej, stosuje dawną technologię produkcji, zaś zatrudnieni w nim robotnicy mieszkają w pobliskich czworakach. Jednym słowem – manufaktura, chyba jedyna czynna dziś w Polsce. Zakład nosi nazwę „Witulin”, gdyż wniósł go ojciec Witolda Gombrowicza jako zabezpieczenie finansowe na przyszłość dla swojego syna. Ten jednak z pożytkiem dla polskiej kultury nie został fabrykantem, ale literatem. Nazwa „Witulin” pozostała jednak

Niegdyś Święty Krzyż był masowo odwiedzany przez pielgrzymki. Cieszył się wielkim kultem, w niektórych wiekach większym niż grób św. Wojciecha w Gnieźnie. Dziś większe zgromadzenia wiernych można tu zobaczyć tylko na odpustach, a masowo zaglądają tylko wycieczki. Warto jednak wymienić je: największy z nich – 14 września na Podwyższenie Krzyża. Z reguły przenoszony on jest na najbliższą niedzielę. Mniejsze odpusty to majowe Znalezienie Krzyża i lipcowe – Krwi Przenajświętszej.

Święty Krzyż nie jest więc sanktuarium maryjnym i tego tak typowego dla naszego kraju kultu Matki Boskiej wyraźnie tu brakuje. Pozory jednak mylą. Był tu niegdyś cudowny obraz MB Bolesnej, były inne obrazy – zniszczyły je jednak wojny, pożary i grabieże, jakich było tu wyjątkowo (nawet jak na Polskę) dużo. O tym dawnym kulcie maryjnym przypomina tylko stojąca w wirydarzu klasztornym na Świętym Krzyżu kamienna, nowa figura Madonny od Codziennych Spraw. Jest ona dziełem artysty Stefana Maja. Matka Boska ubrana jest tu w ludową zapaskę świętokrzyską.

Podobną jak Święty Krzyż średnowieczną metrykę ma również sanktuarium w Wiślicy, gdzie w kościele paraf. znajduje się późnoromańska, kamienna figura MB Łokietkowej. Uroczystości koronował ją 17.07.1966 r. (Milenium!) ks. kardynał Stefan Wyszyński, a asystował mu wówczas m.in. ks. kardynał Karol Wojtyła. Wiślica leży na Podidziu, a więc na południe od Gór Świętokrzyskich, mówiąc o sanktuariach maryjnych nie można jej jednak pominąć.

O istniejących i zamartych miejscach kultu chrześcijańskiego w Górach Świętokrzyskich można by jeszcze długo pisać. Wybrałem tylko dwa najmlodsze i dwa najstarsze. W diecezji kieleckiej jest 75 ośrodków kultu maryjnego. W 19 z nich część odbierają cudowne obrazy MB Śnieżnej, a w 12 – MB Częstochowskiej. Te proporcje

aprobaty dla trwającego od dawna kultu. Spośród tych 7 ośrodków dwa są w Górach Świętokrzyskich (Piekoszów – koronacja 1968 r. i Kielce – 1991 r.) oraz dwa na Podidziu (Wiślica – 1966 r. i Piotrkowice – 1958 r.). Na zakończenie chciałbym jeszcze raz wspomnieć wielkiego krajoznawcę świętokrzyskiego – ks. prof. Włodzimierza Sedlaka i zacytować jego piękne słowa: *Sanktuarium to przestrzeń Boża, gdzie ludzie znoszą swoją nędzę schorowanego organizmu, swoją nędzę duchową...*

Ks. Sedlak, o którym już wspominałem w „Na Szlaku”, zmarł niedawno – 17.02.1993 r., w wieku 80 lat. Był profesorem KUL, twórcą nowej nauki – bioelektro-niki. Wiele lat temu, w bardzo ciężkim stanie, z otwartą gruźlicą, oczekiwał na wolne miejsce w sanatorium. Oczekiwał w swoim ukochanym miejscu – czyli w klasztorze na Świętym Krzyżu. No i gruźlica zniknęła sama. Zdjęcia rentgenowskie wykazały to jednoznacznie. Sanatorium okazało się niepotrzebne.

Przemysław Pilich



Tryptykowy ołtarz główny z XV-XVI w. z kościółka w Dębnie Podhalańskim

Foto: Archiwum



Niejednego dziwi obecność w położonych między Karkonoszami a Rudawami Janowickimi Mysłakowicach wiele jeszcze, choć stopniowo przebudowywanych czy rozbieranych domów o wyraźnej tyrolskiej

nikową, płaskodenną i szeroką doliną (stąd zwaną Zillertal), wcinającą się w masyw Alp Zillerstałskich, równoległe i na wschód od słynnej Autostrady Brennerskiej. Wokół wznoszą się coraz wyższe szczyty, poczy-

słowami widok, jaki się otwiera na Zillertal przy zjeżdżaniu karkołomnymi zakrętami do Zell. Początkowo wyłaniają się szaropastełowe, skaliste czubki najwyższych partii gór nad doliną. Stopniowo przechodzą one w jasną zieleni hal, potem ciemne pasmo świerkowych borów, a poniżej niego – soczysta zieleni pastwisk i łąk w niższych częściach stoków. Kolorowe domki stają się coraz większe, z bliska prezentują formy identyczne z myślakowickimi – tyle, że cieszą oko świeżymi i kolorowymi tynkami oraz mnóstwem kwiecica na balkonach. Zell to największa miejscowość w dolinie. Tuż na południe od niej rozłożyło się Mayrhofen – główny ośrodek ewangelicki w czasach Fleidla. Dziś są to spore turystyczno-przemysłowe (choć na szczęście ta druga część gospodarki ma mniejsze znaczenie i nieuciążliwe dla otoczenia) miejscowości. Cała Zillertal należy

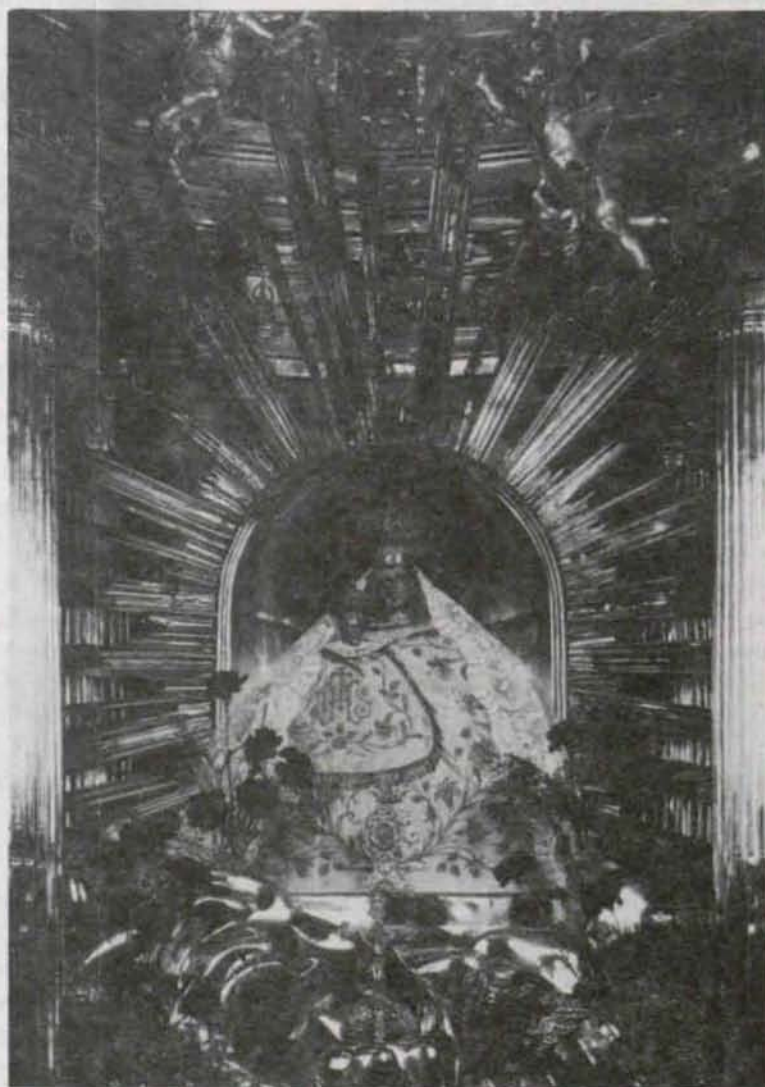
ZILLERU PODKARKONOSKIE PARANTELE

proweniencji. Szczyciki, balkoniki, dekoracyjne wycinanki w ich osłonach. Zapewne większość z nie korzystających z przewodników po tym terenie myśli: ot, takie fanaberie przedwojennych, niemieckich właścicieli. Nic błędniejszego! To autentyczne tyrolskie budownictwo w sercu Sudetów. Skąd ono się tu wzięło? Odpowiedź tkwi w niemieckiej nazwie wsi Erdmannsdorf-Zillertal. Ten drugi jest rozwiązaniem zagadki. A było to tak.

Na początku minionego stulecia Tyrol, w dużej mierze zamieszany przez ludność ewangelicką, dostał się w końcu we władanie arcykatolickiego cesarza Józefa II. Nie mógł on, rzecz jasna, ścierpieć takich heretyków w obrębie swej monarchii i mimo wielu petycji ze strony swoich nowych poddanych wydał mało chrześcijański wyrok: albo – albo. Albo zmienić wyznanie, albo wyniesiecie się z Tyrolu. Johann Fleidl, przywódca niezłomnych ewangelików, poszukiwał w końcu pomocy u króla protestanckich Prus Fryderyka Wilhelma III. Ten zezwolił im osiedlić się na swoich gruntach pod Mysłakowicami. Na początku września 1837 r. ruszyły pierwsze grupy w tę daleką, wygnańczą podróż. Znamienne, że pierwsze nabożeństwo mogły one odprawić dopiero na ziemi śląskiej, gdyż po drodze żaden ksiądz katolicki nie pozwolił im na to. W sumie okolice Zell i doliny Ziller opuściła ponad połowa mieszkańców, z czego 416 osób utworzyło nową kolonię Zillertal niedaleko Jeleniej Góry. To wszystko dokładnie opisałem w „Gościńcu” nr 12, zamieszczając reprodukcję wygnańców.

Dokładnie w dziesięć lat później zapragnąłem zobaczyć na własne oczy, jak też owa dolina wygląda, jak biegnie w niej życie dzisiaj. Przypomnijmy – Ziller jest znanym dopływem Innu, uchodzącym doń na wschód od Innsbrucka. Płynie połud-

nając od ponad 2000 do ponad 3000 m. Boczne doliny są na ogół lepiej rozwinięte od wschodu: jedną z nich – Gerlos Bachu, prowadzi atrakcyjna szosa o równoleżnikowym przebiegu i pokonująca atrakcyjną przełęcz Gerlos (1507 m), oczywiście ten fragment płatny, jak podobne mu odcinki w całej Austrii. Nie sposób opisać zwykłymi



Figurka z bazyliki w Mariazell. Foto: Archiwum K. R. Mazurskiego

do najbardziej znanych w Alpach, masowo odwiedzanych przez cały niemal rok, głównie jednak zimą. Warunki narciarskie są w niej doskonałe, choć możliwe i... latem. O tym jednak za chwilę.

Atrakcją krajoznawczą jest Zillertalgrund – romantyczne, ekscytujące wręcz górskim pięknem zakończenie doliny Ziller. Dla łatwiejszego dostania się doń wybudowano okołokilometrowy tunel, przecinający grzbiet na kształt wznoszącej się sztolni. Zaraz za wylotem – bramka i strażnik pobierający myto. Można wszakże dalej wybrać się i pieszo, choć do końca doliny, wąskiej i coraz dzikszej z wyglądu, jest ładnych parę kilometrów. Ale dla mieszkańców w pobliżu letników nie jest to większy problem. W ten sposób dotrzeć można aż do schroniska-gospody Bärenbad (1450 m), czy też wspiąć się jeszcze do wyżej położonego Plauener-Hütte, już w pobliżu skalistych i ośnieżonych cały rok wierzchołków. Dobra, ale stroma szosa prowadzi od Mayrhofen pod główny grzbiet Alp Zillertalskich, około 10 km od granicy włoskiej. Pokonując długi tunel ostro jedziemy coraz wyżej. Przy Breitlahner Karlshütte (1256 m) możemy zostawić samochód, albo po opłaceniu myta przejechać jeszcze kilka kilometrów do schroniska-gospody nad pięknym zbiornikiem zaporowym Schlegeis Speicher, utworzonym na Zamser Bach. Zajął on znaczną część dolinki Schlegeisgrund, tworząc zarazem dużą atrakcję turystyczną. Wznoszą się nad nim budzące respekt szczyty: Schönbichlerhorn (3134 m), Hochfeiler (3510 m), Olperer (3476 m) i kilka innych im podobnych.

Po drugiej stronie grzbietu, wybierającego z Olperer na północny wschód, ciągnie się piękna dolina rzeczki Tux, stąd zwana Tuxertal. Jest ona szeroko znana, nadzwyczaj licznie odwiedzana i z tego powodu dość gęsto zabudowana – roi się tu od pensjonatów, hoteli czy zmodernizowanych zabudowań rolników, przystosowanych do przyjmowania turystów, wczasowiczów i innych rekreantów. Dolina ma charakter zawieszony, gdyż boczny lodowiec, spływający (dotąd zresztą) spod Olperer nie zdołał pogłębić jej do poziomu Zillertal. Stąd wjazd do niej jest nadzwyczaj kręty i stromy, później szosa biegnie już w miarę gładko. Zabudowania skupione są w kilku osiedlach, w których ceny noclegów rosną w miarę zbliżania się do początku doliny. Można jednak uzyskać całkiem tanie, jak na warunki alpejskie, noclegi, choćby w Juns (1400 m), i samochodem, autobusem czy rowerem – coraz ich więcej w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, dotrzeć do najwyższej tu miejscowości. Jest nią już naprawdę ekskluzywny Hintertux (1500 m), za którym, niemal tuż pod stromym zboczem Sommerbergalm (2080 m), znajduje się stacja wyciągów linowych. Pod nazwą Zillertaler Gletscherbahnen kryje się bowiem cały ich zespół. Obejmuje on nie tylko cztery sekcje

(odcinki), wwożące aż na pole śniegowe lodowca Olperer, tuż pod szczyt Gefrorene Wand (3286 m), na poziom 3250 m, ale i kilka wyciągów narciarskich. Dzięki nim od rana szusują tu w pełni lata dziesiątki narciarzy. Dwa pierwsze odcinki obsługiwane są przez czteroosobowe kabiny, automatycznie sterowane, z wejściami za pomocą kart magnetycznych. Na wypadek zwiększonego ruchu równoległe biegną odcinki krzeselkowe. Tylko takie już zbudowano na dwóch dalszych sekcjach. Dwie pierwsze przesiadki odbywają się przy schroniskach-hotelach górskich, o komfortowych, w porównaniu do naszych obiektów, warunkach. Przystosowane są one do masowego ruchu, bo rzeczywiście przybyły jest tu mrowie. W południe na samej górze robi się nawet nieprzyjemnie, bo cała ta masa nie ma gdzie się podziać na niewielkim poletku, udostępnionym nie-narciarzom. Zaczyna się jedzenie, picie piwa i innych napojów, poszczekiwanie psów i dziecięce hałasy. Szybko zmyka! Ale trudno się oderwać od wspaniałych widoków, gdy powietrze kryształowo czyste. Żeby i zebra na odległych nawet szczytach rysują się wyraziście jakby nożem cięte. Widać nawet odległy wierzchołek Grossglocknera, najwyższej góry Austrii.

Spod Olperera i Gross Kaserera (3268 m) pełnię krótki, bo krótki, ale malowniczy lodowiec o szerokim polu śniegowym. Co jakiś czas ratraki porządkują trasy. W pobliżu drugiej przesiadki, kilkadziesiąt metrów od restauracji Tuxer-Ferner-Haus, zaczyna się niemal kolejka chętnych do zajrzenia wewnątrz lodowca. Prowadzi doń ponad dwudziestometrowy tunel, wyłożony matami (żeby się nie pośliznąć). Osobiście podejrzewam, że został on sztucznie wykuty. Ale ciekawie mimo to znaleźć się w nim i pogłodzić niebieskawy lód w głębi.

Okolice Tuxertal pocięte są licznymi ścieżkami spacerowymi i trasami wycieczkowymi. Więcej ich jest północnego wschodu, gdyż przeciwna strona, ta od Zemmgrund, jest dziksza i trudniej dostępna, tylko dla bardziej wprawnych turystów wysokogórskich. Natomiast ta pierwsza przypomina nasze Tatry Zachodnie, tyle że oczywiście góry są wyższe i mają stromsze stoki. Z doliny wszakże do najbliższych wierzchołków wspiąć się trzeba na krótkim odcinku z reguły tysiąc albo i więcej metrów. W upalne lato łatwo dostaje się przy tym zadyszki. Widok jednak głębi dolin, oglądanych z wysokości 2300-2800 m, dostarcza niezapomnianych wrażeń, pozwala zapomnieć o hałasie i spalinach samochodowych w dole, kontemplować piękno i majestat gór. Siedziałem tak na jednym ze szczytów, Grublsplitze (2395 m), i myślałem o tym, jak ciężko było opuszczać Zillertalczykom ich ojczyste strony. Wcale im się nie dziwię!

Krzysztof R. Mazurski

GŁOS O BIESZCZADACH

My nie każdemu 'kre m e n', bo siuda kremeni ne ma, my kažemo 'h r e b e n', co znaczy po polsku grzebień – tak rzekł Mieczysławowi Orłowiczowi bojkowski pasterz napotkany podczas jego bieszczadzskich wędrówek w okolicach popularnego Krzemienia. Ów pasterz wyjaśnił naszemu nestorowi turystyki błędną nazwę szczytu, co w jednym zdaniu – zamieszczonym przeze mnie na początku tegoż tekstu – wyjaśnia. Uważam, że słuszniejsza nazwa szczytu jest ta bojkowska, czyli HREBEN i moim zdaniem takiej powinno się używać również na mapach turystycznych i na kartach przewodników poświęconych Bieszczadom. Nie jest to jedyny znany przypadek przekręcenia przez geografów z za biurka nazwy punktu krajoznawczego. Skoro mamy demokrację, to może spróbować zmienić niektóre nazewnictwa na bliższe tamtejszym środowiskowym określeniom?

Zwłaszcza Bieszczady wielokrotnie były świadkiem zmian nazewnictwa, więc jeszcze jedna, ale na właściwą, ujmij temu rejonowi nie przyniosłaby. Informację powyższą zaczerpnąłem z bardzo ciekawej książki Mieczysława Orłowicza *Na turystycznym szlaku*, gdzie „Pan Doktor” zalecał m.in. swój rytm wędrówki górskiej. Należy więc wędrować pod górę 15 min., a następnie 5 min. odpoczywać.

Inspiracją do mego głosu na temat Bieszczadów był m.in. tekst *Słońce wschodzi nad Krzemiercem* Tomasa Kowalika, który zamieszczony został w nr 2/1992 „Na Szlaku”. Gratuluje, że potraficie się (to do Redakcji – red.) nadal utrzymać na rynku, podczas gdy np. dość ciekawy periodyk ni to taternicki, ni jaskiniowy, czy skalkowy OPTYMISTA po rocznej przerwie uraczył swych czytelników kolejnym, nowym, chociaż bardzo zaległym numerem. Czytelnik może m.in. dowiedzieć się wielu ciekawostek o możliwościach wspinaczek i wędrówek po górach RPA. Ponadto najnowsze dane ze świata sportowców skalkowych z mistrzami świata włącznie. Szkoda, że jednak OPTYMISTA mało miejsca poświęca rodzimym górcom i szczególnie turystyce górskiej, nie szczególnie taternictwu, ale to już inna para kaloszy, jakby powiedział mój znajomy góral. Wielu jesiennych wrażeń z wędrówek górskich i turystycznych życzy czytelnikom.

Jan Janota

PERSONALIA Z USA

Robert Rogoż (z Krakowa), wspinacz znany chociażby z klasycznego przejścia wraz z Piotrem Korczakiem drogi Cassina na Cima Ovest w Dolomitach (w r. 1985). Od kilku lat mieszka w miejscowości Bend w Oregonie. W sławne na świecie skałki Smith Rock ma zaledwie ok. 40 km. Wspina się tam dużo, zrobił już kilka dróg 5.13, a jego ostatnim wyróżniającym się przejściem jest głośna droga „Rude Boys” (5.13b/c = IX+/X – UIAA) na The Prophet Wall. W Yosemite przeszedł z partnerem amerykańskim z jednym biwakiem The Nose na El Capitan.

Iwona Walker (również krakowianka) przebywa w Ameryce od 7 lat i aktualnie mieszka w stanie New Jersey. Można powiedzieć, że ostatnio żyje tylko wspinaniem się. Pracuje jako przewodnik-instruktor po skałkach Shawangungs, wolny czas i urlopy spędza... oczywiście w górach. Z racji swego zatrudnienia wspina się dużo w Gunksach, gdzie prowadzi na drogach 5.11, co w wykonaniu pań uchodzi tam za klasę wyjątkowej rangi. W roku 1992 zajęła II miejsce na regionalnych zawodach wspinaczkowych w Nowym Jorku.

Artur Kamiński (z Podgórzyna w pobliżu Jeleniej Góry) mieszkał przez 4 lata w Nowym Jorku. Od jesieni zeszłego roku ostro trenował na sztucznej ścianie, co przyniosło mu latem wyraźną zwyżkę formy i przejście drogi 5.12d (= IX UIAA) w Kingston. Niedawno wyprowadził się do Japonii, gdzie mieszka z żoną Japonką, Makiko, i synem Kenem. Mam nadzieję, że będzie informował nas o wydarzeniach w tamtejszych górach i skałach.

Władysław Janowski

W dniu 11 września 1993 r. w wypadku samochodowym w Warszawie poniósł śmierć nasz kolega klubowy i serdeczny przyjaciel

KRZYSZTOF CIELECKI

Miał 57 lat i był alpinistą z dużym dorobkiem w wielu górach świata. Uczestniczył w licznych wyprawach, m.in. w zimowej wyprawie na Everest. W 1969 r. uczestniczył w pierwszym wejściu na najwyższy szczyt Pamiru-Alatau, Pik Skalisty (5621 m). Od 1969 r. pełnił różne funkcje w zarządach Klubu Wysokogórskiego i Polskiego Związku Alpinizmu. Jego książka o podwójnej wyprawie na Everest w l. 1979-80 nie doczekała się wydania. Był człowiekiem niezwykle wrażliwości i prawości, a w górach partnerem, na którym zawsze można było polegać.

Polski Związek Alpinizmu
Klub Wysokogórski

Z DZIEĆMI W GÓRY

Coraz to więcej rodziców pragnie zażywać przyjemności wędrowania po górach – bez rozłąki ze swoimi pociechami. Wbrew obiegowym opiniom, im dziecko młodsze, tym łatwiej uprawiać z nim turystykę. Na świecie (a również w Polsce) produkuje się wiele typów nosideł, umożliwiających bezpieczny i wygodny transport dziecka, także w terenie górskim. Noworodki i młodsze niemowlęta (poniżej 6 miesięcy życia) dobrze czują się w nosidłach umieszczonych na brzuchu rodzica (angielska nazwa „smuggy”). W ten sposób nosilo swoje potomstwo wiele ludów, używając za zwyczaj dużych chust. Niemowlę znajduje się w bezpośredniej bliskości ciała opiekuna, w pozycji zbliżonej do tej, jaką przyjmowało w okresie życia płodowego. Monotonia ruchu działa na nie usypiająco. Nieco starsze dzieci, cięższe, bardziej ruchliwe i skore do obserwowania otoczenia, nosimy już na plecach. Nosidła do chodzenia po górach przypominają solidny plecak – taką samą konstrukcję ma stelaż, nieodzowny jest szeroki i wygodny pas biodrowy. Mogą one służyć do transportu nawet kilkuletnich „pasażerów”, choć zwykle ograniczenie stanowi waga dziecka i jego temperament. Trzeba przy tym wiedzieć, że ciężaru dziecka nie można porównywać z wagą plecaka, rusza się ono bowiem, przemieszczając ustawicznie środek ciężkości. Dlatego wybierając się na dalszą trasę winniśmy ocenić własne

możliwości kondycyjne. Na wędrowce górskiej ważne jest odpowiednie obuwie, wygodne i trzymające się skały, dobrze jest mieć w rękach kijki narciarskie, które chronią przed nagłą utratą równowagi, a także odciążają stawy kończyn dolnych.

W czasopiśmie alpinistycznych omawiane są różne rodzaje nosideł. Autorzy zalecają, aby przy kupnie dobrze obejrzeć wybrany model, który musi spełnić szereg warunków wiążących się z wygodą i bezpieczeństwem dziecka. Czy nic nie uciska? Czy jest ono pewnie i stabilnie przymocowane? Czy wystające elementy konstrukcji nie będą obijały główki dziecka przy zaśnięciu? Pozytywnymi opiniami cieszą się nadal – zwłaszcza jeśli chodzi o niemowlęta – chusty wymiarów 70 x 340 cm, które można kupić lub uszyć samemu z mocnego, nie rozciągającego się materiału.

W zachodnich sklepach ze sprzętem górskim istnieją specjalne działy z ekwipunkiem dla dzieci – z miniuprzęzami i kaskami dla maluchów włącznie. Od 3 roku życia dziecko chętnie nosi plecak, trzeba jednak pamiętać, że obciążenie 6-8-latka (nie mówiąc o dzieciach młodszych) nie powinno przekraczać 1/10 wagi ciała. W terenie eksponowanym – niezależnie od jego trudności – dziecko należy asekurować linką 5-7 m długości i 9 mm średnicy. Nie wolno lekceważyć wagi dziecka w razie upadku. Jest ona na tyle duża, że upadek może wyrwać linkę z rąk osoby ubezpieczającej lub nawet wytrącić ją ze stowiska. Podręczniki górskie szczególnie podkreślają konieczność wiązania dziecka za pomocą pełnej uprząży. Z uwagi na budowę ciała, z pasa piersiowego wysuwa się ono łatwo, a w trakcie upadku odruchowo łapie się liny ponad sobą. W krajach alpejskich wspinaczki z dziećmi mają bogatą literaturę – tytuły idą w dziesiątki. „Deutscher Alpenverein” prowadzi specjalne kursy dla matek i ojców chodzących w góry z potomstwem, opieka nad tą kategorią turystów wymaga przecież specjalnej wiedzy technicznej i psychologiczno-pedagogicznej. W kilkunastu schroniskach DAV organizowane są zgrupowania dla rodziców i dzieci, nierzadko nadzorowane przez wyspecjalizowanych instruktorów.

Monika Nyczanka



Foto: Monika Nyczanka

GÓRY I ALPINIZM

pod redakcją Aleksandra Lwowa

HIMALAJE TATRY SKAŁY

W 1984 roku Rafał Chołda i ja znaleźliśmy się w okolicach Chamonix. Byli tu też Jasiu Nowak i Heniek Szczęsny. Po zrobieniu kilku łatwiejszych dróg poszliśmy na wycieczkę lodowcem Mer de Glace, po to, aby z bliska lepiej przyjrzeć się najstawniejszym alpejskim zerwom i wybrać coś dla

naczkach w górach wysokich wiedziałem, że Rafał jest bardzo ambitny i ma żelazną „psychę”, co w Himalajach może wystarczyć do prowadzenia akcji na wysokości. Ale wiedziałem także, że jeżeli nie ma się odpowiednich „buł”, dużych trudności skalnych, psychą nie da się oszukać.

Podczas podejścia zauważyliśmy w zachodniej Dru dwójkę alpinistów, którzy – o zgrozo – zamiast wspinać się w górę, wycofywali się zjazdami w dół. Jak się okazało po dwóch godzinach, byli to wspinacze z Jeleniej Góry. Spotkaliśmy ich przed wejściem w urwisko.

– Dlaczego zjechaliście? – zapytaliśmy ich zdziwieni.

W odpowiedzi chłopcy robili tylko głupie miny, jakby nie wiedzieli w ogóle, o co nam chodzi.

– Zjechaliśmy, bo zjechaliśmy, wielka rzecz.

Sprawa wydała nam się bardzo niewyraźna. Interesował nas powód ich „wycofu”, a jeszcze bardziej przyczyna tak enigmatycznej odpowiedzi. Najwyraźniej chcieli coś przed nami ukryć. Pod naciskiem oświadczyli w końcu, niby mimochodem.

– Nie puściło nas klasycznie, nie było sensu iść dalej.

Wtedy nie mogłem tego zrozumieć. Wiadomo, że taka wspinaczka nie ma sensu, ale żeby z tego powodu się wycofywać i to aż z dwóch trzecich wysokości ściany? Przecież „wycof” może być czasami znacznie trudniejszy niż kontynuowanie drogi. – Ładnie się zapowiada – powiedziałem głośno.

Rankiem, po biwaku, zaczęliśmy zbierać się do wyjścia. W miejscu noclegu postanowiliśmy zostawić ciężkie buty i raki. Okazało się wkrótce, że nie był to najlepszy pomysł. Już nam się wydawało, że czujemy pod palcami szorstkość alpejskiego granitu, kiedy nagle wąski pasek zmrożonego śniegu zagroził nam drogę. Nie przeczuwając nic złego, postanowiliśmy sforsować go w lekkim, pozbawionym jakiegokolwiek protektora, wspinaczkowym obuwiu. Ostrożnie i powoli dopełzliśmy do punktu, z którego ani nie mogliśmy dalej ruszyć w górę, ani też wycofać się bez kłopotu. Staliśmy jak przestraszone pajaki, wymieniając jedynie zdziwione spojrzenia. Na śnieg wkroczył, uzbrojony w raki, zespół hiszpański i w ciągu minuty był już w skale. Oblani wstydem musieliśmy zawrócić do miejsca biwaku po buty.

c.d.n.

Artur Hajzer

Atak rozpacz (4)

siebie. Z lodowca roztacza się szeroka panorama na okoliczne szczyty. Mogliśmy stąd zobaczyć: Grand Jorasses z ich monumentalnym filarem Walkera, Petit Jorasses, środkiem których biegnie efektowna droga Contaminea, wschodnią wystawę Mont Blanc, a przede wszystkim wielką granitową taflę zachodniej ściany Petit Dru.

Najlepszy spośród nas, Jasiu Nowak, zaproponował właśnie ją. Według niego celem godnym nas miała być trudna, choć już wtedy zaliczana do standardów, droga Hemminga i Robbinsa, tzw. directe americane. Jeszcze niedawno pokonywano ją techniką hakową, teraz – niestety – była już klasyczna, o znacznie wyższym stopniu trudności.

Rafał, choć w skale nigdy orłem nie był, od razu zaaprobował ten pomysł. Trzeba przyznać, że nigdy nie brakowało mu odwagi. Jedną z jego pierwszych samodzielnych dróg tatrzańskich (nowy wariant na Kancie Kazalnicy), którą zrobił po zakończeniu kursu w Betlejemce, należała do najlepszych osiągnięć lata 1981 roku. Przejsiemy tym Rafał wszystkich wprawił w osłupienie, tym bardziej, że w parę dni potem, podczas wspinaczkowych konfrontacji w skałkach, jak zwykle nie mógł dorównać żadnemu spośród swoich kolegów, którzy nigdy nie odważyliby się pójść na Kant Kazalnicy. W następnych sezonach Rafał jeszcze nie raz zaskakiwał nas swoimi nieobliczalnymi decyzjami, dlatego też teraz, poparciem propozycji Jasia specjalnie mnie nie zaskoczył. Już wtedy znałem Rafała dość dobrze, razem byliśmy przecież na Gauri-hanka-Go i na Tirich Mirze, nigdy jednak nie wspinałem się z nim w skale. Po wspi-

Henio Szczęsny, z natury małowówny, poparł plan milczeniem. No więc kto, jeżeli nie ja, miał mieć wąpliwości.

– Panowie – zacząłem – wiadomo, że chwytając się haków można wkość wszystko, ale jaki w tym sens?

– Wariant klasyczny omija 90-metrowe zacięcie. Idąc zacięciem możemy się przecież łapać, tak robią wszyscy, nie wiesz o tym? – odpowiedział Jasiu.

No cóż, tak rzeczywiście było. Wiedziałem, że aby drogę pokonać klasycznie, nie korzystając ze sztucznych ułatwień, trzeba zboczyć z wyznaczonego przez Hemminga i Robbinsa szlaku. Tak więc pierwsza piętka została odbita, nie dałem jednak za wygraną, strach mi ścisnął dupę.

– 90-metrowe zacięcie to nie wszystko, ściana na tysiąc metrów. Pozostałe fragmenty są co prawda ciut łatwiejsze, ale i tam możemy nie dać rady.

– Owszem, może nas nie puścić, ale gdyby nie było niewiadomych, to byśmy przecież tam nie szli – usłyszałem w odpowiedzi.

Na tym dyskusja się zakończyła. Zrozumiałem, że decyzja i tak, bez względu na moje „widzimi się”, została podjęta.

Raz jeszcze próbowałem powrócić do tego tematu wieczorem, gdy po zakończonej wycieczce zbliżaliśmy się już do Chamonix. Bez skutku. Było jasne, że się nie wymigam. Pod ścianę mieliśmy wyruszyć dopiero za dwa dni, jednak już teraz przyplątał się do mnie i ciągle mi towarzyszył charakterystyczny ból brzucha – ból niepewności.

W końcu nadszedł moment, kiedy obciążeni ciężkimi worami ruszyliśmy krok po kroku, w kierunku podstawy ściany.

Każda z wypraw przemierzających lodowiec Baltoro musi zatrzymać się w Urdukas, w jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie, choć to tylko trawiaste zbocze, odrobinę wyniesione ponad poziom płynącej poniżej rzeki lodu. Powiedziałem „jedno z najpiękniejszych”, gdyż Urdukas jest jak stworzona przez naturę widownia w niesamowitej wielkości amfiteatrze. Proszę sobie wyobrazić potężny, cały pokryty skalnym rumoszem lodowiec; blisko 60 kilometrów długości, czyli w przybliżeniu jak z Wrocławia do Legnicy, i o szerokości 1000-2000 metrów. Prawdziwa, zastygła w pozor-

Odpowiedziałem Mehmetowi tak, jak dyktowało mi wieloletnie doświadczenie. – Jesteś tutaj najwyższą władzą i musisz pokazać im, że jesteś twardy, i że my też jesteśmy twardzi. Najpierw powiedz im tak: kto nie chce iść dostaje zarobione dotąd pieniądze według stawki najniższej, bo złamał umowę zawartą w Askole. I powiedz, że za postój nie zapłacimy ani rupii. Potem poczekaj spokojnie, oni się na to nigdy nie zgodzą, ale też nikt nie zejdzie w dół i przyjdą żądać większej zapłaty oraz ważenia ładunków od nowa. Wówczas zaproponujemy im dodatkowe pieniądze, a ile, to się

aż do 7000 metrów. Mieliliśmy więc dobre tempo, dające nadzieję na zdobycie szczytu już nawet w ciągu najbliższych dni. Byłoby to możliwe dzięki temu, że organizm alpinisty, który bywał już wcześniej na dużych wysokościach, zapamiętuje jak gdyby nabytą poprzednio aklimatyzację, coś na wzór odporności na chorobę uzyskanej po szczepieniu, choć to zupełnie inny mechanizm. My dwaj, a zwłaszcza ja (15 ekspedycji himalajskich), nosiliśmy taką „szczepionkę” w sobie po licznych odbytych wcześniej wyprawach i to dawało nam podstawę do optymizmu. Pamięć wysokości tkwiąca w ciele wspinacza nigdy nie zastąpi rzetelnej aklimatyzacji, która trwa kilka tygodni i jest skomplikowanym procesem fizjologicznym, ale z pewnością proces ten znacznie przyspiesza i... łagodzi związane z tym dolegliwości (np. bóle głowy).

Założenie przez nas obozu trzeciego na wysokości 6900 metrów zbiegło się w czasie z diametralną zmianą nieufnej, jak dotąd, pogody. Obfite opady wypędziły większość alpinistów z wielu różnych wypraw do baz, pechowców zaś uwięziły na kilka dni w obozach wysokościowych. Później od nowa musieliśmy torować szlak oraz odkopywać i przestawiać zniszczone namioty. Szczyt, a raczej jego zdobycie, oddaliło się w bliżej nieokreśloną przyszłość.

Mijały dni, na przemian pogodne i przynoszące kolejne opady, ale niestety z przewagą tych drugich. To nasze łożenie wciąż w górę i w dół, aż do znudzenia, miało tylko jedną dobrą stronę – z dnia na dzień zyskiwaliśmy coraz lepszą aklimatyzację.

Przełamanie złej passy przyszło w przeddzień „lipcowego święta” (czy ktoś jeszcze o nim pamięta?). 21 lipca, przy wspaniałej bezwietrznej pogodzie, na szczycie Gasherbruma II (8035 m) stanął pierwszy zespół, prowadzony przez Thora. Mieli wielkie szczęście, gdyż taka pogoda na wierzchołku ośmiotysięcznym zdarza się bardzo rzadko, a jeżeli już, to trwa niezmiernie krótko. Następne zespoły miały przekonać się o tej prawdzie na własnej skórze.

Nazajutrz, jakby dla uczczenia odwiecznego polskiego jubileuszu („E. Wedla d. 22 lipca” – uwaga korekta), następnych trzech Amerykanów stanęło na szczycie, ale tym razem powrót z niego odbywał się w padającym śniegu i zamieci. Dalsze zespoły, czające się do ataku w niższych obozach, utknęły w nich na kolejne długie dni.

Następnym w kolejce do szczytu był zespół prowadzony przeze mnie. W dniu, w którym Kieser wchodził na szczyt, my doszliśmy do „jedyńki”. Na wieść o cudownej pogodzie jaką oni mieli na górze, i wiedząc, że cudów nie ma – „to się wkrótce musi skończyć załamaniem”, postanowiłem spró-

Z Amerykanami na Gasherbrum (3)

Bunt tragarzy

nym bezruchu, lodowo-kamienna rzeka. I jakby tej potęgi było za mało, wszędzie dookoła sterczą gigantyczne skalne masywy, a z nich strzelają w górę tysiącmetrowe turnie: Trango Tower, Biaho, Paju Peak i dziesiątki mniej znanych, nienazwanych. Wszystko to bliskie, ciasno upakowane jedno przy drugim, potężne. Od tego widoku trudno oderwać wzrok, a dla powracających z głębi gór, po tygodniach spędzonych na lodzie i wśród piargów, trawy, kwiaty i krzaczki Urdukasu zdają się być rajem na Ziemi.

Urdukas posiada jeszcze jedną, bardzo ważną dla alpinistów cechę. Tu dochodzi do buntów tragarzy. Jest tak od zawsze i z góry można to przewidzieć. A dlaczego właśnie tam, łatwo wytłumaczyć: biwaki na lodowcu są dla tragarzy trudne – zimne i niewygodne, brak opału, etc., natomiast noc spędzona w skalnych kolebach rozrzuconych wśród traw Urdukasu, w cieple trzaskającego ogniska, to prawie przyjemność, więc można postrajkować do woli.

Wyprawa z Amerykanami na Gasherbrum II była moim szóstym z kolei pobytem w górach Pakistanu i bunt w Urdukas był dla mnie czymś tak oczywistym, jak zachód słońca każdego wieczora. Wkrótce też nasz oficer łącznikowy, młody i nieobeznany z problemem kapitan z jednostek łączności, odciągnął mnie na bok i zapytał: „jak mi radzisz, co robić?” On wiedział już, że z racji doświadczenia, na tej wyprawie ja mam najwięcej do powiedzenia. W tym czasie Thor przy translatorskiej pomocy sirdara negocjował z rozwrzeszczanym tłumem tragarzy, jeśli to w ogóle można nazwać negocjacjami, gdyż z góry było wiadomo, że stracimy wyłącznie my, nie oni, tylko pytanie, ile?

zobaczy. I zapamiętaj – tu wskazałem na grupę rozgorączkowanych tragarzy – tego z czerwonym szalikiem i tamtego w kurtce. To prowadzący, wiecznie niezadowoleni i to oni najwięcej tu mącą. Przyjmując wszystkich na nowo do roboty, tych dwóch opłacimy za drogę do Urdukas i odeślemy w dół.

Boję się pomyśleć, co teraz mówią lub myślą na mój temat czytający ten tekst członkowie związków zawodowych. W każdym razie pewne analogie są dość oczywiste, zaś organizacja związkowa w jakimś hipotetycznie należącym do mnie zakładzie pracy, nie miałaby łatwego życia. Zbyt wiele buntów mam już za sobą.

Awantura trwała dobrych kilka godzin, i był nawet moment, w którym tragarze zaczęli niby zbierać się do odejścia (co byłoby dla nas katastrofą), ale wiedziałem, że to wszystko są tylko elementy gry w pokera, jaką z nimi prowadziliśmy. Zewnętrznie manifestowałem spokój i półobojętność, ostentacyjnie pijąc herbatę z dala od tłumy, ale w środku drżałem z obawy, że może się wydarzyć coś, czego nie przewidziałem. Aż w końcu nowa stawka została przez wszystkich zaakceptowana i zaczęło się gorące ważenie ładunków. Strajk zabrał nam przeszło pół dnia, i teraz, by zdążyć przejść etap, należało się bardzo śpieszyć.

Po tym wszystkim oficer podszedł do mnie i powiedział krótko, ale z mieszaniną uznania i podziwu w głosie: „miałeś rację!” – I’m very experienced man – odpowiedziałem i uśmiechnąłem się szeroko bardziej sam do siebie niż do niego, gdyż ja wcale nie byłem wcześniej tego taki pewien.

* * *

Po pierwszych dwóch tygodniach akcji górskiej dotarliśmy z Thorem Kieserem

bować dokonać wejścia bardzo szybkiego: baza – jedynka – trójka – szczyt i powrót, opuszczając zupełnie obozy drugi i czwarty.

Mój ambitny plan został pogrzebany przez padający śnieg już w trójce. Cztery doby tkwiłimy w maleńkich namiotach tego obozu, nie mogąc iść w górę, ani zejść do bazy. W tym czasie zamiast „mięknąć”, utwierdzałem się w przekonaniu, że albo wejść na szczyt podczas tego wyjścia z bazy, albo zrezygnuję. Zbyt wiele już razy kursowałem tam i z powrotem, ryjąc ślad w śniegu zalegającym obrzydliwie długi, nudny i popękany lodowcem. Najważniejszym jednak ograniczeniem był brak żywności, zaplanowanej przecież na zaledwie 4-5 dni.

Szóstego dnia pogoda poprawiła się i mogliśmy wspiąć się do czwórki, położonej na wysokości 7400 metrów. To jest już spora wysokość, jak na spędzanie nocy, zwłaszcza w zatłoczonym (jak nasz) do granic możliwości, maleńkim namiotiku. I tu przyszło nam przeczekiwać dalsze dwa dni. Koszmar!

28 lipca wyruszyliśmy ku szczytowi tuż przed świtem, o 4.15. Do wierzchołka mieliśmy 650 metrów różnicy poziomów, a przeciwko sobie – nie licząc wpływu wysokości i braku tlenu, szaleńczy lodowaty wiatr od zachodu i głęboki śnieg. 650 m na nizinach to pestka, którą w przyzwoitym czasie może pokonać nawet słabowity turysta. Te same 650 m w granicach tzw. strefy śmierci wysokościowej, czyli powyżej 7500 m n.p.m. jest przeszkodą nie do pokonania nawet dla większości alpinistów.

c.d.n.

Aleksander Lwow

Dopiero blisko dwa tygodnie po fakcie, i całkiem przypadkowo, dotarła do mnie wiadomość o śmierci czeskiego wspinacza Miroslava Smida, jednego z najwybitniejszych alpinistów świata.

We wrześniu br. mój przyjaciel Miro odpadł od ściany podczas solowej wspinaczki po 500-metrowym skalnym urwisku w Yosemitech, w USA.

Był postacią tak barwną i wybitną, że wyczerpujące wspomnienie o nim zajęłoby wiele stron. Wspinał się we wszystkich niemal górach świata, wszędzie osiągając znaczące sukcesy. Góry filmował, fotografował i opisywał. Żył w nich, żył nimi i dla nich. Znany i popularny w świecie alpinistycznym, szczególnie blisko związany był z polskim środowiskiem wspinaczkowym; nawet mieszkał niedaleko od nas – w miasteczku Police n. Metuji, w pobliżu Kudowy.

Jego odejście jest dla czeskiego alpinizmu tym, czym dla nas była śmierć Jerzego Kukuczki, choć Miro nie zdobył wszystkich ośmiotysięczników i nie było to nawet jego celem.

Wspominając Wandę Rutkiewicz napisałem kiedyś, że najwyraźniej górską śmierć jest nieodłącznym elementem górskiego życia, tylko że ja ciągle nie potrafię się z tym pogodzić.

Aleksander Lwow

Sokole Góry – pod dyktando D. Sokołowskiego

Kolejne śmiałe i ciekawe nowe skalne drogi w Sokolich Górach poprowadził jesienią zeszłego roku Dariusz Sokołowski ze Szczecina. Warto wspomnieć, że Sokołowski od połowy lat 80-tych należy do czołowych wspinaczy w tym rejonie, gdzie jest autorem wielu trudnych pierwszych przejść klasycznych. Jego najlepszym osiągnięciem wspinaczkowym w ogóle, stawiającym go w rzędzie najlepszych w tej dziedzinie w Polsce, jest poprowadzenie nowej drogi o nazwie „Potęga Trójkątów” (trudności 6.7) na Wielkiej Cimie w Podzamczu (Jura Krakowsko-Częstochowska) – jednej z dwóch aktualnie najtrudniejszych dróg w naszym kraju.

Z poprowadzonych trzech nowych dróg w Sokolich Górach Sokołowski dwie zrobił na Sukiennicach i jedną na Krzywej. Najciekawszą jest „Indyjska Twarz” (trudności 6.5+), która rozwiązuje przewieszoną depresję między „Pod Zjazdem” a „Hokejem” na wschodniej ścianie Sukiennic. Jest to teraz najtrudniejsza droga w całych Rudawach Janowickich. Druga droga na wspomnianej skale to „Dzika Rzecz” (6.4+), prowadząca Filarkiem Brzózki, tuż na lewo od „Znikającego Punktu”. Na Krzywej Sokołowski przeszedł „Szaloną Lokomotywę” (6.5) – okap na wschodniej ścianie, położony na lewo od Rysy Osady. Warto przypomnieć, że

okap ten, z lewej jego strony, przeszedł ok. 1979 r. Zbigniew Czyżewski z górą asekuracją. Dariusz Sokołowski jest (jeśli dodać do jego ostatnich przejść drogę „Sultani Swingu” – zob. „Na Szlaku” 5/47, s. 21) obecnie autorem 3 najtrudniejszych dróg w Sokolich Górach.

Podczas wymienionych wyżej przejść ich autor asekurował się z haków, w tym także z „jedynek”. Miejmy nadzieję, że drogi te szybko wyposażone zostaną w asekuracyjne spity lub ringi, co z pewnością przyczyni się do wzrostu ich popularności.

Coraz dotkliwiej jest odczuwany brak aktualnego przewodnika wspinaczkowego po Sokolich Górach (i całym rejonie skałek w Rudawach Janowickich). Nierzadko zdarza się bowiem, szczególnie w mniej popularnych okolicach, że drogi już zrobione po latach otrzymują znowu „pierwsze przejście”, „nową” nazwę, co powoduje zabawne nieraz sytuacje i nieporozumienia. Niestety, w tej sprawie nie ma dobrych wiadomości. Jak dowiadujemy się z „Głosu Seniora” (maj 1993) „Kazimierz Glazek (zob. „Na Szlaku” 7-8/37, s. 40) miał poważne kłopoty z okiem, wbrew obawom lekarzy widzi na nie jednak, choć nie w stu procentach. Jego przewodnik po Sokolikach leży w wydawnictwie „Kraj” i czeka na lepsze czasy. Autor zamierza powierzyć go innemu wydawcy”.

Władysław Janowski



Na Col de Peuterey (3934 m) w Alpach. Foto: Archiwum A. Lwowa

ZAPOMNIANE WIERSZY O GÓRACH

Bronisława Ostrowska

CMENTARZ

Górski cmentarz. W posępnej przegniętej zieleni
Drzemlą cicho rzędami mogiły przygodne,
Wśród smreków i krzyżów mgły się wleczą
chłodne
I ta wiosna – smutniejsza od późnej jesieni. –

Rzekłbyś, że tu umarła wszelka myśl żywa,
Że te groby rzucone zostały w przelocie
I nikt się już za nimi nie zwraca w przelocie,
Ani rozpaczonym krzykiem do życia nie wzywa.

Niezmącona cisza i spokój dookoła:
Tylko w dole gdzieś potok z wartkim szumem
płynie,
Woda huczy w dalekim pracowitym młynie,
A dzwon południe głosi na wieży kościoła.

I wraz wchodzi na cmentarz przez odparte
dzwierze
Kobieta w żółtej chustce na głowie pochyłej;
Kłęką u rozniesionej samotnej mogiły
I – żegnając się głośno – zaczyna pacierze. –

Znamy dobrze ten górski cmentarz i nieraz go odwiedzamy, zatrzymując się przy grobach Tytusa Chałubińskiego, księdza Stolarczyka, Sabaly, Kazimierza Tetmajera, Kornela Makuszyńskiego czy Józefa Krzeptowskiego. To stary cmentarz zakopiański, zwany Cmentarzem Zasłużonych. W czasach, gdy Bronisława Ostrowska (1881-1928) go odwiedzała i opisała w wierszu zawartym w jej tomiku *Poezje* z 1905 r., inaczej on wyglądał i inne budził wrażenia, niż dzisiaj. Był po prostu wiejskim cmentarzem o chaotycznym układzie mogił. Grzebano tam również bardzo często gruźlików, mimo kuracji młodo w Zakopanem umierających – na ich groby zwróciła uwagę Gabriela Zapolska w pochodzącej z tego samego czasu *Sezonowej miłości* (1904), wręcz porażona grozą przedwczesnych zgonów. Niewiele z tych gruźliczych mogił dotrwało do naszego czasu (znaleźć je można głównie w głębi cmentarza), najszybciej one bowiem uległy zapomnieniu, rozpadały się, niszczały, tworząc ten nastrój cmentarza, który ukazała Ostrowska. Trwałych, monumentalnych grobowców niewiele tam wówczas było, zwracał wśród nich uwagę „połyskujący w słońcu górski grób Chałubińskiego”, wierszem upamiętniony w tymże samym okresie przez poetę niższego lotu, Józefa Kościelskiego (*Co mi Tatry dały?*, Kraków 1905).

Niemal nie było poety, który w okresie Młodej Polski by nie spłacił daniny literackiej modzie na pisanie o Tatrach. Ostrowska, poetka subtelna, wrażliwa i oryginalna, modzie tej, nieraz ostentacyjnie krzykliwej, nie uległa. Jej pobyt (czy pobyty – bo nie wiemy, ile tam razy bywała) w Zakopanem wydał tylko dwa wiersze. W jednym (*Wspomnienie, Poezje*, 1905) uchwyciła bardzo delikatne wrażenie sprawiane przez nagle „otwieranie się” mgieł pływających po reglach, w drugim – właśnie w *Cmentarzu* – utrwaliła ten, diametralnie od dzisiejszego różny – charakter i nastrój zakopiańskiego cmentarza.

Do druku podał
Jacek Kolbuszewski

SCHRONISKA SUDECKIE PTTK

W RYSUNKU PAWŁA DACKO
Strzecha Akademicka



O Sudetach w 68 „Śląskich Zeszytach Krajoznawczych”

Nieco grubszy niż zwykle, 68 numer wrocławskich „Śląskich Zeszytów Krajoznawczych” tradycyjnie zawiera kilka artykułów mogących zainteresować miłośników Sudetów. Znalazła się w nim przygotowana przez K. R. Mazurskiego bibliografia prac doskonale znanego Czytelnikom „Na Szlaku”, cenionego, nieżyjącego już krajoznawcy Zbigniewa Martynowskiego. Gros cytowanych tam tytułów to publikacje dotyczące regionu kłodzkiego. Tego obszaru dotyczy też artykuł B. Czechowicza omawiający Kaplice Loretańskie na ziemi kłodzkiej – zapomniane, a niekiedy także zupełnie zniszczone pomniki kontroreformacji. Znany także z łamów „Na Szlaku” R. Primke przedstawia górali czadeckich ze Zbylutowa, wsi na Pogórze Kaczawskim. Tradycyjnie, już od kilkunastu lat, dolnośląskie kalwarie prezentuje

S. Jastrzębski. Tym razem omawia drogę krzyżową w Janowcu koło Barda Śląskiego.

Z „sudeckich” artykułów bodaj najbardziej interesującym jest obszerny tekst R. M. Łuczyńskiego, traktujący o funkcjonowaniu Szczawna Zdroju na przełomie XIX i XX w. Autor, opierając się na analizie ówczesnej prasy, przedstawia szereg nieznanych, na ogół bardzo interesujących epizodów, jak też danych statystycznych, z których np. dowiedzieć się można, że na kurację przybywali tu nawet Turcy oraz m.in. nieco mniej egzotyczny Karol May.

Numer zawiera ponadto inne, już nie górskie artykuły. Materiał jest więc różnorodny i – jak można sądzić – interesujący. Pozostaje zatem życzyć miłej i pożytecznej lektury.

bc

UWAGA PRENUMERATORZY!!!

Informujemy, że prenumerata za 1994 r. wynosi, wraz z kosztami przesyłki, 150 000,- zł.

Kwotę tę należy wpłacać do 31.12.93 r. na załączonym blankiecie.

Po tym terminie prenumerata wynosić będzie 190 000,- zł.